Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁONKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Dokończenie.)

Słonka zaokrąglona w jesieni, z trzewiami pełnemi miłej goryczy, jest nader smacznem i wielce cenionem pożywieniem, ale wnet się przejada. Na wiosnę bywają te ptaki chudsze, z twardem mięsem i tyle tylko do użycia, o ile wtedy gospodyniom czuć się daje brak zwierzyny. Słyszymy ciągle z ust ptasich amatorów upominanie, aby słonkę bardziej szanować i oszczędzać, nie strzelać jej na wiosnę. Według mego zdania i doświadczenia nie potrzebują te ptaki naszej ochrony, bronią się one same wobec nas i mnożą niepospolicie, pomimo iż żadna parka nie wychowa więcej piskląt jak cztery. Czytając opisy Karola Brzozowskiego liczby widzianych słonek w Syryi, raporta o ubitych słonkach na brzegach Szwecyi, Norwegii, na wyspach północnego bałtyckiego morza, na wyspach śródziemnego, można z spokojnem sumieniem strzelać je na wiosnę i w jesieni z tem przekonaniem, że nawet dziesięciny z nich nie wybierzemy. W niektórych okolicach górskich i u nas w Karpatach często latają one wieczorami jak nietoperze, trudno wtedy nawet w przybliżeniu obrachować ich liczbę. Wziąwszy na uwagę liczne ciągi, zapadające u nas, z których nader mały procent dostaje się do spiżarni, przekonujemy się, że słonki w tajemniczych kryjówkach, niedostępnych dla człowieka, wywodzą liczne potomstwo. Przebywając w górach przez tyle lat, przekonałem się o nieznanej nam liczbie słonek, rozrzuconych po całem pasmie Karpat, dla strzału nieprzystępnych. Na przestrzeni tysiąca morgów, popprutych parowami, jest kilkanaście parek wywodzących kilkadziesiąt słonek, a ponieważ owych lasów jest krocie tysięcy morgów, to można na miliony obliczać wyhodowane słonki, nie biorąc zresztą w rachubę poważnej cyfry ptaków, wychowanych niemal w każdym lesie, przeważnie zaś w mokrych nad rzekami.

Nie dosyć znany jest zwyczaj, przyjęty na wyspie Helgoland na morzu północnem, już wyżej wspomniałem, jak to wszyscy od dziecka do starca wyruszają, aby zabijać czem kto może nad miarę znużone słonki, nie mogące już dalej odlecić, lecz nie mówiłem o sposobie ich łapania. Przekonali się mieszkańcy, że ptaki różnego gatunku ciągną tłumnie w nocy przez ulice miasta, często pomięszane razem. Owoż zastawiają sieci, podobne do opisanych wyżej pod Lipskiem i zamykają ulicę od ziemi aż po nad dachy. Którykolwiek z wędrowców w tym kierunku ciągnie, ugrzężnie w siatce i staje się łupem. Często łowienie tym sposobem trwa nader krótko, ledwie przez kilka dni, zawsze

jednak dostarcza obfitej zdobyczy i niekiedy rzadkich exemplarzów. Przypominam sobie złapanie jednej nocy kilkunastu słonek, brodźców, drozdów, a co najciekawsze, stadka żółtych pliszek. Kto nie wie o zastawionych sieciach, może uwierzyć w czary i zaklęcia. Ongi — czy dziś ulice oświetlone, nie wiem — oddawano Panu Bogu troskę o światło w nocy, więc panowała zupełna ciemność, powracający do domu cudzoziemiec spotyka pierwszą sieć, dziwi się, mota i wreszcie pod domem przechodzi; ledwie się wydobył z jednej, widzi znowu sieć, klnie, rzuca się i gniewa, w końcu w rozpaczy lamentując woła o pomoc, aby się wydobyć z tego zaczarowanego świata. Wreszcie gdy podróżny znękany i złowiony jak ptak wędrowny, już wątpić poczyna, o wschodzie słońca zjawia się brzuchaty Helgolandczyk i w złym humorze mówi: „Tędy się nie chodzi po nocy".

Widocznie odwidzają ptaki tradycyjnie te liczne wyspy i wysepki, zdawałoby się, że ich siły do tego tylko punktu wystarczają. Dodać jeszcze winienem, że ciągi nie zawsze się pojawiają, zależą one od prądu wiatrów, bywają liczne, bywają skąpe w zdobyczy, nie odbywają się też w terminie, raz wcześniej, to później, niekiedy już podczas lodowatego powietrza. To też szpiegowanie ciągu na wyspach jest znakomite i może nam służyć w części za przykład. Od pierwszych dni Października mężczyźni i dzieci obsiadają skały nadbrzeżne i wyższe miejsca, pilnując bezsennie przybycia lotnych wędrowców, nie ma więc wypadku, aby jaki ciąg bezkarnie się przekradł. Mój kolega, ornitolog, przesyłał mi ze Szwecyi zajmujące opisy zapadających nad miarę zmęczonych słonek. Na brzegach morza, w pierwszych zaroślach, często nawet w trawach, tam jako też na wyspach, tłucze niemiłosiernie długodzioby znakomicie zorganizowana policya. Strzelby, jak wszędzie, są i tu główną podstawą tępienia, ale znużone ptaki dają się też zabijać patykami i nakrywać sieciami (rozjazdami). Tam krociami padają słonki i przepiórki, można cyfrę podnieść do miliona i wykazać rzeczywiście wyrządzone szkody, lecz nie dadzą się powstrzymać, więc z pociechą możemy wyrzec: „niech mordują, zawsze jeszcze pozostanie dostateczna liczba, aby ubarwić dwa razy w roku życie myśliwego".

Muszę tu zwrócić uwagę kolegów na niektóre wyjątkowe ciągi i ich przyczyny. Często bywa u nas jesień posuszną, posucha ta trwa przez kika tygodni, wypija wodę w rowach i kałużach, słonki pożerając drobne żuki, ślimaczki i skorupiaki potrzebują wody do trawienia. Wtedy to usuwają się z rowów, znanych z ich ilości, ciągną ku mokrym lasom, na olszynki i zarosłe bagna, opuszczając ulubione pagórkowate krzaki. Przypominam sobie rok, w którym mnie ogarnęła wielka tęsknota za słonkami, Października dnie ubiegały do połowy, a żaden raport nie wskazywał przylotu tych ptaków. Mając pozwolenie polowania w sąsiedztwie w niskiem położeniu, przypuszczając, że brak wody wypędził owe tak dla mnie pożądane ptaki, pojechałem tam z kilku chłopczykami i z wyżłami. Ilość słonek zastałem zdumiewającą nie tylko w łozowych zaroślach i olszynkach, lecz w graniczącym lesie zrywało się po kilka, a nawet spotykałem słonki w pojedynczych krzakach pod lasem. Odbyła się istotna rzeź, ale nie mając władzy Jozuego wstrzymania słońca, musiałem z całym orszakiem powracać do domu. Rozgorączkowany tem polowaniem, o jakiem marzyć nie mogłem, postanowiłem ponowić je nazajutrz, lecz skutek okazał się wcale niepomyślny. Widocznie słonki wypłoszone były naszem bombardowaniem, bo ledwie kilka maroderów udało się nam zabić i już tam więcej w tej jesieni nie pojawiły się.

Jeśli ta długa, ślimacząca się monografia słonki znudzi czytelników, co by mnie wcale nie dziwiło, to żadnej odpowiedzialności na siebie przyjąć nie mogę, u wstępu bowiem zwróciłem uwagę na przedmiot nudny i oklepany, niech więc przyjmie odpowiedzialność Redaktor, tyle dbały o rozpowszechnienie pisma, pouczającego i ubarwiającego życie nasze, zatrute niejednym kwasem, niejedną goryczą, niech dźwiga ciężar winy, kiedy tę monografię tak skwapliwie przyjął i chętnie ją drukuje. Nadzieja mnie jednak ogrzewa, że tu i ówdzie znajdzie się myśliwy, który w porze wskazanej każe szpiegować przylot miłych i ponętnych długodziobów w swych lasach i krzakach, a jeżeli znajdzie obfity ciąg i dozna rozkoszy polowania, to wdzięczną myślą ku mnie się zwróci. Ciągle słyszymy o zupełnym braku słonek, o kilku zaledwie ptakach, na które nie warto polować, żaden jednak z tych pesymistów nie zadaje sobie trudu kontrolowania przylotu i szpiegowania go przez straż leśną. Nie ulega wątpliwości, że nieraz w jesieni i na wiosnę dozna przykrego zawodu, słonki bowiem wędrują różnymi szlakami i nie co roku na tych samych stacyach odpoczywają, więc jeden należycie wyzyskany ciąg wynagrodzi sowicie pracę i zachęci do dalszego szpiegowania. Są słoncze drogi, o tem na pewne twierdzić można, i temi drogami ciągną one najliczniej, innemi, że tak powiem pobocznemi, nie zapadają po całej Galicyi. To samo dostrzegamy w ciągu gęsi i żórawi, z tą różnicą, że jedne w nocy, inne w dzień wędrują, więc łatwe są do badania. Przez kilkanaście lat w różnych stronach zbierałem dane do obliczenia ubitych słonek i rzeczywiście ilość do minimum zredukowana, w szczególności na wiosnę nie bierzemy z ciągu dziesięciny, lecz lichą jałmużnę, a patrząc na bogate mnożenie się tych ptaków, uważam za obowiązek zwrócić uwagę na przeloty i zachęcić do korzystania z nich.

Kończąc moją ramotkę w dniu dzisiejszym, ze smutkiem patrzę na prześcieradłem okryte lasy, na śniegi łokciowej wysokości, drżę na wspomnienie kilkustopniowych mrozów w nocy, z uczuciem czułego ornitologa dzielę dolę naszych wiernych towarzyszów, stawiających się o chłodzie i głodzie na termin wskazany, nie uwzględniwszy kaprysów naszej polskiej wiosny. Nadleciały miłe skowronki i nucą pieśń na cześć wiosny, lamentują czajki na białych łąkach, szukając cieplic, szpaki tłumnie uganiają, zdziwione białem nakryciem bez pożywienia dla nich, gołębie siniaki już w parach lub pojedynczo latające, o gruchaniu w tej niedoli zapomniały, gęsi ciągną nisko, bo wyżej jeszcze mroźno, nawet raszka i kos w małej ilości, wystawione na głodową śmierć, gdyż prawo przyrody nie dozwala im cofnąć się ku łagodniejszym strefom. Jakże mam przypuścić, że słonka bez obuwia i berlaczów siądzie na tym głębokim śniegu, z którego ledwie pniaki sterczą. Być więc może, że ciąg nizinami się odbędzie i pominie gościnny Olejów, co mnie jednak wcale do dalszych poszukiwań nie zniechęci, radzę też to uczynić każdemu myśliwemu w ciągu swego życia. Istna to loterya, wiele lasów bywa wygranych, wiele też przegranych, na tem nam wszakże zależeć powinno, by mając trafny numer, z własnej woli go nie stracić. Kończę tę monografię już i tak za długą i nużącą, przyznaję mylność mego twierdzenia, jakoby w takich warunkach słonki nie mogły przylecieć. Otóż na to lodowate

prześcieradło nadleciało w kilku pojedynczych rewirach sześć słonek, czy zostaną, trudno będzie sprawdzić, gdyż rozmoknięte śniegi i płynące wody przerwały zupełnie komunikacyę. Pierwszą widziano 1. i 2., zaś już kilka nadciągnęło i widziano jednę ciągnącą bez świstu i chrapania.

Podaję te szczegóły drobnostkowe, aby zwrócić uwagę myśliwych na terminy przylotu ptaków, nieraz w najniekorzystniejszych warunkach, obraz to posłuszeństwa dla praw przez przyrodę wskazanych. Polowanie to utrudnione jest nieco z powodu złego przystępu, zresztą słonka zrywa się w oddaleniu, przerażona białem otoczeniem, w końcu i z tej przyczyny, że ptak jeżeli nie zmęczony, daleko leci, szukając choćby małego czarnego płateczka ziemi do zapadnięcia. Z drugiej strony myśliwy gdy dobrze zakryty, zabawi się, a czasem uśmieje, widząc te zmieniające się co chwila postacie. To karykaturalna, napuszona, z dzióbem pionowo spuszczonym, ledwie się ruszająca — to znowu podniesiona na nogach, wysmukła, uciekająca z szybkością, lub też warująca, niekiedy tuląca się do pniaka, zawsze baczna, ostrożna, zerkająca oczkami na wszystkie strony. Według mego zdania, wywiera ptak ten tak czarodziejski urok, że nawet mała ilość słonek w zupełności zadowala. Przypominam sobie słonkę ubitą po przegonionych jedenastu miotach, cóż więc dziwnego, że towarzyszów mych zachęcam do pracowitego szukania słonek, przekonany bowiem jestem, że im przysporzę przyjemności w tem naszem życiu, nie zbyt ubarwionem.

Dr. Juliusz Hoffmann wydał przed kilku laty monografię słonki w Lipsku; w niej zastanawia się nad przyczynami zmniejszania się liczby słonek w ostatnich sześciu latach. Na ten ubytek skarżą się Niemcy po wszystkich czasopismach, tak w jesieni, jak na wiosnę, nawołując do powstrzymania się od polowania wiosennego. Autor rozjaśnia tę sprawę ze stanowiska nader praktycznego, twierdząc, że według zbieranych przez niego danych w całej Europie, ilość słonek się nie zmniejszyła, lecz zmienił się szlak wędrówek z przyczyn łatwych do odgadnięcia, mianowicie z powodu wytrzebienia lasów, korczowania tychże, osuszania strug i bagien lesistych, ongi cieniem osłoniętych, hałaśliwej wrzawy w dawnych zaciszach i t. d. Przyznaje on szkody olbrzymie w słonkach, wyrządzane na brzegach mórz podczas ciągu, wykazuje cyfry takiej wysokości, iż uwierzyć im trudno i przekonuje o praktykowanej rzezi na ciągu i podczas zimowli słonek. Wspomina o kilku Anglikach, którzy w lasach zabili 1000 słonek na archipelagu greckim pomiędzy Patras i Pyrgos. Ten jeden przykład zimowego polowania daje wymowny obraz tępienia słonek.

Dodać muszę słów kilka o zmianie siedzib słonczych u nas z tych samych przyczyn jak w Niemczech, z dodatkiem znacznych przestrzeni w górach, pożarami ogołoconych i równie rozległych, pozbawionych drzewa, zamienionych na pastwiska, z których słonka ustąpić musiała. Niemiec badacz, przez całe życie pytający: *warum?* szuka nieustannie przyczyn zmniejszenia się liczby słonek i wreszcie jeden po drugim odkrywa tasiemce w trzewiach tych ptaków, mające je zabijać. Wykrycie tych soliterów wywołało polemikę, wywodzącą śmiertelność słonek z tej przyczyny. Byłoby się to mniemanie utwierdziło, gdyby nie był wystąpił Dr. Leukert z argumentami, zbieranymi w ciągu swego życia. Udowodnił on, że ten gatunek tasiemców, grubości nitki wełnianej, jest właściwością tych ptaków, setki ciał anatomizował i zawsze odkrywał je w trzewiach, wreszcie zapewnia, że robaki te ani słonkom, ani spożywającym je ludziom nie szkodzą i szkodzić nie mogą. Nie jeden z nas czytając opis tych trucicieli w słonkach, lub widząc te robaki, wzbudzające nieco wstrętu, mógłby uwierzyć w ich szkodliwość lub zbrzydzić sobie smacznego ptaka, z tej przyczyny przywiodłem zdanie uczonego doktora, zasługującego na wiarę.

Obrachowując w przybliżeniu słonki, znajdujące się w handlu na wschodzie i południu, zdumieć się możemy nad poważną cyfrą, wykazaną drukiem, dostarczanych słonek na targi miast portowych. Więc nie w środkowej Europie, nie u nas wybijane bywają nad miarę słonki, lecz tępione są bezmyślnie, sprzedawane po kilka centów, na wyspach i wybrzeżach. Nasze usiłowania wywrą w końcu wpływ zbawienny, gdy w każdem łowieckiem czasopiśmie powtarzane będą słuszne skargi na takie barbarzyństwo, zwrócą one uwagę Rządów, dbałych o utrzymanie zwierzostanu, jako części bogactwa krajów. Jeżeli Rządy rozciągają opiekę nad czworonożnym zwierzem i nad ptakami, chroniąc je od zniszczenia, dlaczegożby solidarnie nie miały ustawami powstrzymać tych rzezi słonek, praktykowanych corocznie w czasie ciągów i w zimowych siedzibach.

Na zakończenie zwracam się do strzelców zbyt krewkich ze szkodą dla siebie i swych towarzyszów. Ileż to razy słyszałem: „ja strzelam, gdzie słonkę zobaczę", jak mówił, tak też czynił i słonka przebywała często ogień szczęśliwie na całej linii, spłoszona nad miarę, usuwała się z naszego widokręgu i przepadała dla nas bezpowrotnie. Jak już wspomniałem, ptak to nader ostrożny, myślący i wyzyskujący znakomicie zdobyte doświadczenie. Bombardowane słonki przy ruchu lub głosie pogonki zrywają się cicho i odlatują w niedostępne dla nas mioty, lub też uparcie lecą po nad naganiaczy. Kto strzela do słonek, gdzie je tylko okiem dostrzeże, nie wiele ich ubije i zgubnie wpłynie na skutek polowania; zresztą słonka wypłoszona, lecąca na linię, trudna jest do ubicia nie tylko z tego powodu, że szyje jak strzała, aby jak najrychlej wyrwać się z niebezpieczeństwa, ale też często zbyt góruje, lub płata nam rozliczne figle, na które nie jesteśmy przygotowani, więc też zwykle bywają słonki chybiane. Ze wszystkich znanych mi polowań, wliczając też polowanie na bażanty z naganiaczami, żadne nie wykazuje tak złego stosunku chybnych i trafnych strzałów i często myśliwych ciężkim okrywa wstydem. Przez długi szereg lat liczyłem codzień strzały, bywały dnie gorączkowe, w których ledwie dziesiąty strzelec trafiał, a bywało to chybianie nawet u wytrawnych myśliwych zaraźliwe, o czem się nieraz przekonałem.

Myśliwstwo, to skarbnica tajemnic! W jednym dniu ci sami myśliwi trafnie strzelają, w innych fuszerują jak studenci na wakacyach. Wcale tu nie wspominam o słonkach podróżą zmęczonych, lub o tych, którym mglista noc utrudniła lot, bo te są łatwiejsze do ubicia, lecz przeciętnie zapisuję szereg polowań przez lat kilkanaście. Wzbudza też nie małe zdziwienie wytwarzająca się gorączkowość przy znacznej ilości ptaków, u wytrawnych i starych myśliwych, spotykających się oko w oko z odyńcem lub niedźwiedziem, rozzuchwalonych natarczywością psów i strzelających spokojnie, a tu niewinne długodzióby burzą im krew, wprawiają w rozdrażnienie nerwowe, a głos *tirehaut* elektryzuje ich nad miarę. Skutki te najlepiej wykazują, jaki urok wywierają słonki.

Olejów 3. Kwietnia 1886.

*

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIRZA REMISZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Tyle Althum. Nie wspomina on o miotłowcu *(Spartium scopar)*, który przecież, obsiany na rowach, szczególnie zaś na małych haliznach, drożynkach i t. p., w drzewostanie samym bardzo ważne oddaje usługi, służąc zwierzynie za żer, która przenosi miotłowiec nad młodą buczynę i t. d. W ogóle szkoda, jaką zające w zagajeniach wyrządzić mogą, jest więcej lokalna i tam tylko wpada w oko, gdzie zwierzostan jest nadmierny, albo też gdzie mała przestrzeń kilkuletnich młodników liściastych otoczona jest zewsząd lasami szpilkowymi.

Obfite i odpowiednie żywienie zajęcy pomaga tu bezsprzecznie, nie uchyli ono może uszkodzeń w zupełności, ale im zapobiegnie w znacznej części. Szkody zresztą nigdy nie bywają tak znaczne, iżby ogólny wpływ wywierały na przyszłą wydatność drzewostanu. Nieprzyjaciele zwierzostanu i łowiectwa w ogóle podają wiele jeszcze innych szkód w polu i w lesie, jakie zające wyrządzać mają. Bezstronny jednak badacz, znający naturę zwierza, sprowadzi te oskarżenia do właściwej miary i odnajdzie przyczynę tych skarg w nieznajomości rzeczy a często także w złej woli i chciwości oskarżycieli. Szacując często szkody zrobione przez zwierzynę na polach włościańskich, miałem dość sposobności pouczyć się, o ile rzeczywiście zwierzyna jest szkodliwą, a ile jej niesłusznie przypisują szkód, powstałych przez przestanie zboża, słotę a nawet g r a d o b i c i e. Chcąc mówić o sposobach podniesienia zwierzostanu i o racyonalnem gospodarowaniu łowieckiem, wypada nam przedewszystkiem poznać i zbadać przyczyny, dla których u nas w Galicyi stan zajęcy z małymi wyjątkami jest tak nieliczny. Główną przyczyną złego jest wielka ilość lubowników polowania, a za mały obszar rejonów myśliwskich. Według ustawy wolno każdemu wynająć prawo polowania, przyczem władze się nie troszczą, czy dzierżawca ma choćby słabe pojęcie o myśliwstwie, czy też cała jego myśliwska wiedza polega na tem, że umie strzelać. Takich pseudo myśliwych, osobliwie w miasteczkach, niestety niezliczone mnóstwo, w każdym razie daleko więcej, jak zwierzyny samej. Skoro więc taki legion, od otwarcia sezonu aż do zamknięcia codziennie przeszukuje wszelkie kryjówki na polach i w lasach, to nic dziwnego, że w krótkim czasie zwierzyna znika, jeżeli nie ma w pobliżu dóbr większych z dobrym zwierzostanem, skąd zwierzyna na opustoszałe pola wychodzi. Ktokolwiek z racyonalnych myśliwych miał szczęście sąsiadować z rejonem zadzierżawionym przez takich niby myśliwych, wkrótce zapewne spostrzegł w swoim zwierzostanie błogie skutki tego sąsiedztwa. Zasiadki na granicach należą do zjawisk codziennych, co z rewiru wyjdzie, trudno aby napowrót wróciło, oprócz zaś tego, psy tych panów ustawicznie gonią w lasach sąsiednich, a nie zawsze się uda je postrzelać. Jest to złe, które nigdy się nie da zupełnie wykorzenić, trudno bowiem polowanie robić dostępnem dla pewnych tylko warstw społeczeństwa, przy dobrej jednak woli ludzi mających wpływy, przez zmianę dotyczących ustaw, zaprowadzenie, kart myśliwskich i tworzenie się spółek myśliwskich, możnaby z czasem w znacznej części złemu zaradzić.

Co do drugiego punktu t. j. wielkości rejonu myśliwskiego, to przestrzeń 150 Ha jest tak małą, iż na niej żadnego zwierzostanu dochować się nie można, nawet przy najlepszych chęciach właściciela i najracyonalniejszej hodowli. Dla zajęcy conajmniej potrzebny jest obszar 1000 morgów, jako samoistny rewir myśliwski. Również szkodliwie oddziaływują na zwierzostan pewne rodzaje polowań, jak za częste pogonki kociołkowe, polowanie z gończymi, chartami i beaglami. W kociołkach wiele gachów umyka, zanim się skrzydła zejdą, a większa część pozostałych, są to twardo dosiadujące samice, których ubicie nie pozostaje bez szkodliwych następstw dla zwierzostanu. Gończe rozpędzają zwierzynę i dla tego mają racyę bytu tylko tam, gdzie z nagonką polować nie można. Co do chartów, to jakkolwiek polowanie z nimi jest bardzo przyjemne i prawdziwie męzkie, jest ono jednak dla zwierzostanu szkodliwe i jak uczy doświadczenie, nie ma tam wiele zajęcy, gdzie się z chartami poluje. Najlepszym tego dowodem znaczna część Podola. Gdzie z chartami nie polują, tam zajęcy stan świetny, gdzie zaś trzymają charty, tam zając rzadki. Jeszcze gorzej rzecz się ma mieć z parforsą, mówię tu za drugimi, nie znając tego polowania z praktyki. Zające strzelane na wydeptanego, są prawie zawsze samice, gdyż gach ostrożniejszy i ruchliwszy, zawczasu pomyka, a samica jako więcej ociężała dosiaduje twardo i często w kotlinie bywa ubitą. Po usunięciu lub zmniejszeniu wyżej wykazanych braków, można dopiero pomyśleć o podniesieniu zwierzostanu przez racyonalne gospodarstwo myśliwskie.

I. P o d n i e s i e n i e z w i e r z o s t a n u p r z e z s t a r a n n ą o c h r o n ę. Mówiąc o środkach podniesienia, wypada nam pobieżnie wspomnieć o pewnych brakach, które jedynie przez zmianę ustawy myśliwskiej dałyby się usunąć. Byłoby w interesie podniesienia zwierzostanu pożądanem:

1. Aby r e j o n y m y ś l i w s k i e samoistne, w położeniach dobrych co najmniej 800 morgów, w położeniach zaś mniej dobrych lub mało odpowiednich dla zwierzyny, 1000—1200 morgów wynosiły.

2. Aby wydzierżawiać prawo polowania ludziom dającym rękojmię, że prowadzić będą racyonalne gospodarstwo myśliwskie. Ponieważ rady powiatowe powołane są do czuwania nad majątkiem gmin i stosunki tychże najlepiej im są wiadome, byłoby bardzo pożądanem, aby wydzierżawianie prawa polowania gminnego przysługiwało Radzie powiatowej.

3. Aby mając gwarancyę co do dzierżawców prawa polowań, podnieść czas trwania dzierżawy do lat 12.

4. Aby zaprowadzone zostały karty myśliwskie, przynajmniej po 10 zł. rocznie, przezco zmniejszyłoby się grono pseudo myśliwych.

5. Aby na kłusowników ostrzejsze wydano przepisy.

Wprawdzie nie podobna żądać osobnych paragrafów w ustawie karnej, można jednak w sposób stosowny udać się do Prezydenta sądów, aby wpłynął na sędziów, by ci na kłusownictwo baczną zwrócili uwagę. W ten sposób poradziło sobie Tow. myśliwych w Styryi, udając się do Prezydyum z najlepszym skutkiem.

6. Aby rozciągnąć lepszy dozór nad przekupniami zwierzyny, osobliwie w miasteczkach. Jeżeli w pobliżu miast kłusownictwo kwitnie w najlepsze, zawdzięczyć należy tylko przekupniom, którzy znając kłusowników osobiście, zamawiają naprzód zwierzynę, starając się nawet demoralizować straż leśną w pobliskich rewirach. Jest to kwestya piekąca, gorsza niżby się zdawać mogło mniej dobrze obznajomionemu ze stosunkami. Potrzeba nawet wiele cywilnej odwagi, aby ją poruszyć, z tego powodu, że osoby, których zadaniem stać na straży ustaw, w tym względzie zachowaniem się swojem niejako pokrywają wykroczenia.

Środki, które leżą w ręku myśliwego są następujące:

1. Przez cały rok powinien się myśliwy starać ile możności niszczyć zwierzęta drapieżne. Mówiąc o nieprzyjaciołach zająca, wymieniliśmy mniej więcej wszystkie rodzaje drapieżników, które na zająca dybią. Nie sposób podawać obszernie środków tępienia, wspomnieliśmy więc tylko główne pokrótce. U nas najniebezpieczniejszym wrogiem zająca jest lis. Najskuteczniej tępi się lisy żelazkami, z których najlepsze t. z. berlińskie, albo łapka Webera, mniej dobre są żelaza denkowe i lisie doły. Bardzo skutecznym rodzajem polowania są zasiadki ranne i wieczorne, tem lepsze, że i inne drapieżniki często dadzą się ubić. W miejscach stosownych należy zakładać ponęty ze ścierwa, przy których z budy w czasie ostrych mrozów wiele można strzelać lisów. Polowanie z nagonką osobliwie jeśli się jamy pozatyka i używa straszaków (linewki opatrzone piórami lub płatami różnokolorowemi), są bardzo skuteczne, najskuteczniejsze jednak polowanie z dobrymi jamnikami, osobliwie w lutym w porze cieczki i na wiosnę, gdy są młode. W innej porze lis tylko podczas niepogody w jamie przesiaduje. Młode lisy należy kopać, starając się przedtem zasiadając koło jamy ubić stare. Jeśli nie ma jamników, a jama nie zbyt głęboka, dadzą się lisy wykurzyć. Szczególnem jest przytem, że lis zaduszony leży zawsze tuż koło ogniska tak, że go ręką z jamy można wyciągnąć. W zimie, gdy śnieg twardy lub go jeszcze nie wiele, trudno lisowi o zająca. Idzie on wtedy doskonale na wab', na myszkę lub zająca, osobliwie jeśli rano lub przed wieczorem pod lasem myszkuje a myśliwy ukryty pod wiatr dobrze zawabi.

Jeśli rewiry bardzo rozległe i wyżej podane sposoby straży myśliwskiej i leśnej nie wystarczają z powodu wielkiej ilości lisów przechodnich lub dla skalistego gruntu, w którym lisy się nie dadzą wykopać, nie pozostaje nic innego, jak uciec się do trucizny. Najlepsze usługi oddaje strychnina, w orzeszkach oblanych witerunkiem, należy jednak bardzo być ostrożnym i miejsca do trucia obierać opodal mieszkań ludzkich.

Żbika, który na równinach na szczęście rzadkim jest gościem, łatwo ubić na ponowie. Prawdziwą plagą są koty domowe. Zdziczałe żyją tylko zwierzyną, trzymające się domu, osobliwie kotki mające kocięta, na wiosnę i w lecie częste robią wycieczki w pola i lasy i niszczą wtedy wiele młodych zajączków. Koty z obciętemi uszami nie wychodzą zwykle w pole, gdyż im się rosa dostaje do wnętrza ucha. Najradykalniejszym środkiem jest strzelanie kotów, o które się właściciel nie troszczy.

Kuna leśna chwyta się najłatwiej na stępicę i samołówkę dachową, najpewniej jednak tropić na ponowie i strzelać. Kuna domowa i tchórz idą na ponętę umieszczoną w żelazku talerzowem lub w łapce Webera, lepsze jednak stępice na przesmykach n. p. na murach, belkach i t. d., którędy kuny i tchórze przechodzą z budynku do budynku.

Na łasice dobre pastki i zwykłe łapki, jak na myszy t. j. deszczułki obciążone kamieniem, podparte drewienkiem, które zachwycone jest na karbie języczkiem opatrzonym ponętą.

Ptaki drapieżne najskuteczniej tępi się na gniazdach. Już podczas parowania się ptaków drapieżnych, powinien myśliwy baczną zwracać uwagę na miejsca, gdzie się je najczęściej widuje, gdyż prawdopodobnie gdzieś w pobliżu założą gniazdo. Również powinien wyznaczyć pastuszkom i t. p. nagrodę od każdego znalezionego gniazda. Samice siedzące na gnieździe łatwo strzelać, płosząc je pukaniem w drzewo, na którem gniazdo usłane. Jestto prawie jedyny sposób niszczenia gołębiarzy, strzał jednak do porywającego się z gniazda jastrzebia jest niestety najczęściej trudny. Młode (rabce), w pierwszym tygodniu, gdy z gniazda wylecą, nie są ostrożne i trzymają się w pobliżu gniazda. Wtedy to najłatwiej je strzelać. Po za tym czasem niezłe usługi oddaje puhacz i rozmaite łapki i żelazka.

Szkodliwymi są psy włóczące się po polach i lasach, osobliwie od wiosny do żniw i powinny być bez litości strzelane. Dobrego psa właściciel pilnuje, skoro go zaś nie żywi odpowiednio i pies z głodu lub nawyczki po polach i lasach buszuje niszcząc zwierzynę, nie pozostaje myśliwemu nic innego, jak strzelaniem chronić się od szkody. Właściciel polowania, dbały o swój zwierzostan, powinien wyznaczyć strzałowe od ubitych drapieżnych zwierząt. W ten sposób najlepiej zachęci straż myśliwską do gorliwego tępienia tychże.

2. Myśliwy baczny winien rozciągnąć dozór nad kłusownikami. Każdy dozorca rewiru myśliwskiego powinien mniej więcej poznać osobiście wszystkich w swoim rejonie podejrzanych o kłusownictwo. Na zasiadach rannych i wieczornych, podczas księżycowych nocy najłatwiej mu kłusownika schwytać lub usłyszeć każdy strzał podejrzany i zarządzić odpowiednie kroki. Podczas kotelnicy powinien myśliwy baczną zwracać uwagę na pastuszków i robotników w polu, aby ci nie łowili małych zajączków. W zimowej porze należy rewidować płoty, pod lasem stojących zagród, celem odkrycia sideł z drutu, które również na ścieżkach zajęczych na brzegach lasów kłusownicy zakładają.

3. W ostrych śnieżnych zimach, osobliwie gdy śnieg ma powłokę lodową lub podczas gołoledzi, należy zające starannie karmić. Zające nie cierpią może tak bardzo jak sarny skutkiem zaniedbania zakładania żerowisk sztucznych, gdyż nie mogąc się dostać do oziminy ogryzają korę drzew, pączki, trawę i t. d. Gdy jednak śnieg głęboki długo leży, osobliwie zaś gdy odwilżony śnieg zamarznie i stanie się tak twardy, że go zając nie rozgrzebie i przez dłuższy czas oziminy dlań niedostępne, może również pora taka fatalne dla zajęcy mieć następstwa. Cisną się one wtedy do ogrodów i gumien, znaczna ich liczba ginie od sideł, część zaś, która nie wy-

niosła się do sąsiednich, korzystniej położonych rewirów, ginie formalnie z głodu. Jestto właśnie czas, w którym zające dla szczepów owocowych, są tak niebezpieczne. Zapobiegliwy myśliwy powinien zawsze w zimie, osobliwie zaś w porze wyżej opisanej, nieść pomoc swemu zwierzostanowi zakładaniem żerowisk. Żerowiska takie zakłada się w pobliżu lasów na ich brzegach, w krzakach stanowiących remizy naturalne; lub też w remizach sztucznych. W Niemczech są w powszechnem użyciu budy okrągłe, 3 metry średnicy mające. Jestto właściwie tylko dach z choiny lub słomy, który prawie do samej ziemi dostaje tak, aby się zające szparą między dachem a ziemią do środka dostać mogły. Tak w budzie jak i naokoło tejże odgartuje się śnieg i rozrzuca karmę skąpo zewnątrz, przez co zające znachodzą wewnątrz budy założony konicz i t. d. Karmę do środka budy zakłada się przez dach, który w tym celu cokolwiek (t. j. poszycie ze słomy lub choiny) się rozsuwa. Budy takie stawia się w oddaleniu co 1.000 metrów. Używają się również tryzubki, podobne jak dla sarn tylko mniejsze i opatrzone żłobkiem, w którym by można owies, siekane kaczany i t. d. zasypać. W braku tryzubków lub bud można także wiązki koniczu lub łubinu do drzew nisko przywiązywać słomianemi przywrósłami, tylko uważać należy w takim razie, aby pasza skutkiem zamoknięcia nie zgniła. Nie obojętną jest rzeczą wybór miejsca na żerowisko. Jeśli tryzub, buda i t. p. w miejscu niestosownem zostanie postawioną, to nie tknie zwierzyna karmy, choćby rzeczywiście głód cierpiała. Żerowisko powinno być założone w miejscu otwartem, ale zacisznem, gdzieby żerująca zwierzyna zasłonięta od wiatru naokoło, swobodny miała widok, a więc dobre są większe polanki w lesie, brzegi lasów, pojedyńcze grupy krzewów na polach lub gęste małe remizy, obok których o kilkadziesiąt kroków żer się zakłada. Najlepszym jest tryzubek przenośny, który łatwo w innem miejscu ustawić, jeżeli przez tydzień lub dwa, zające go nie odwidzają. Sarny w ogóle łatwiej znachodzą założoną im karmę, gdyż ciągle prawie są w ruchu, z zającem jednak rzecz się ma przeciwnie. We dnie spoczywa on w miejscu, a dopiero pod wieczór rusza na żer, dla tego tryzubek najlepiej ustawić na wydeptanym wekslu, gdzie go zające najrychlej znajdą. Praktyczny bardzo i pojedyńczy tryzubek, który z łatwością każdy gajowy sporządzić potrafi, polecić mogę z własnego doświadczenia. Na kole dębowym ostro zakończonym, 130 cm. długim, umieszcza się dwa krążki z desek 50 cm. w średnicy mających, w odstępie 70 cm. od siebie, a po 30 cm. od obu końców koła. Brzegi krążków nawierca się i opatruje szczeblami, przez co powstanie drabinka, dwa szczeble powinny się wysuwać, celem założenia karmy t. j. koniczu i esparcety i t. p. Nasadza się nareszcie na tępy koniec koła czapkę ze słomy (jak n. p. na ul) i tryzub gotów. Ma on tę wyższość nad innymi, że go z łatwością można z miejsca na miejsce przenosić, nie należy go jednak zbyt głęboko wbijać, aby się od śniegu pasza w spodzie tryzuba nie psuła. Jako karmy używa się z dobrym skutkiem niewymłóconych snopów pszenicy i owsa, koniczu, łubinu, esparcety, wyki, lucerny, dalej marchwi i jarmużu, kaczanów kapusty, mniej dobrem jest siano łąkowe, choćby najlepsze. W braku innej paszy podaje się również grochowiankę. Zamokła pasza jest bardzo szkodliwą, sprowadza bowiem motylicę, zmarznięte zaś kaczany kapuściane, marchew, kartofle i t. d. biegunkę. Należy więc tej ostatniej karmy używać zmieszanej ze sieczką, drobno ją poprzód siekając i zasypywać tyle, ile jej zwierzyna w jednej nocy spożyć może. Oprócz tego rozkłada się gałęzie osiki, iwy, płonek i akacyi, a bardzo dobrym żerem dla zajęcy jest miotłowiec, należy go więc po rowach wszędzie uprawiać. W ogóle trzeba przyjąć za zasadę karmić już od listopada zaraz od pierwszego śniegu, miejsc obranych na żerowiska bez istotnej potrzeby nie zmieniać, a karmę podawać rozmaitą, t. j. konicz przegradzać łubinem, owsem w snopkach, marchwią i kaczanami ze sieczką. Oprócz tego pamiętać o ścinaniu osik, iw, płonek w dostatecznej ilości. Skoro się zbliża koniec zimy, karmić mniej obficie, aby zajęcy nie pobudzić do zawczesnej parkotni. Również korzystna dla zajęcy jest uprawa w lesie krzycy samej lub w pomieszaniu z owsem. W tym celu oczyszcza się zrąb z gałęzi i t. d. a z wiosną wysiewa połowę tej ilości ziarna, jak w polu, przykrywając nasienie lekko motykami. Na gruntach żyżnych mięszać można krzycę z owsem i wtedy liczy się na 1 hektar 20 kl. krzycy i 35—40 klgr. owsa. Przestrzeń tak obsiana może być bez przeszkody rakultywowaną sadzonkami drzew iglastych lub liściastych, można również odnawiać las przez wysiew nasienia drzewnego np. sosnowego lub świerkowego. W takim razie uskutecznia się naprzód wysiew krzycy z owsem, przykrywa nasienie lekko motykami a następnie na spulchnioną ziemię wysiewa na 1 ha. 6 klgr. sosnowego lub 8 klgr. świerkowego nasienia. W pierwszym roku zbiera się owies na ziarno, zżynając wysoko słomę, w następnym zaś można również i krzycę zebrać, przez co koszta kultury wartością ziarna uzyskanego zwykle się opłacają. Ponieważ krzyca czyli żyto świętojańskie pod względem gleby i uprawy mało jest wymagającem, udaje się nie najgorzej prawie wszędzie na haliznach, liniach, szerszych starych drogach i t. d., a dostarcza obfitej i zdrowej karmy dla zajęcy i zwierzyny w ogóle, więc powinnaby uprawa tego zboża po lasach w celach czysto myśliwskich jak najobszerniejsze znaleść zastosowanie.

4. Celem ochrony zajęcy przed drapieżcami i niepogodą, winien myśliwy zakładać remizy. W obszernych polach są remizy prawie niezbędne, dając zwierzynie schronienie w ostrej porze roku przed niepogodą, wichrami, zimnem, tudzież przed ptactwem drapieżnem. W lecie, gdy zboża stoją, łatwo gdziekolwiek zając się skryje, z nastaniem jesieni i zimy stają się remizy prawdziwem dobrodziejstwem. Z powyższego wynika, że do tworzenia remiz potrzeba głównie wybierać te krzewy i drzewa, których liść w jesieni nie opada, używając tylko w domieszce takich liściastych, które bądź to dostarczają zwierzynie żeru, bądź służąc do zgęszczenia remizy dobre oddają usługi. Bezsprzecznie najlepszem drzewem na remizy jest świerk i jałowiec, na domieszkę zaś zgęszczającą, kwalifikuje się tarnina, akacya, szczodrzeniec i t. p. przedewszystkiem zaś miotłowiec *(spartium scop)*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Prócz ości, haków, samołówek, używają Tunguzi i Ostjacy, a także i napływowi mieszkańcy Syberyi w tej okolicy więcierzy (morda). Tunguzi szczególniej plotą pierwowzór mordy z gałązek wikliny, której i tam podostatkiem. Pierwowzór taki wiecięrza spotkałem w zbiorze prof. Nowickiego z tą samą u nas na Rusi nazwą jak u Sybiraków „kłobuk". Dalej jako więcej postępowy idzie więcierz (morda), jaki u nas wszędzie spotykamy, pleciony także z prątków, czasem ze skrzydłami lub tylko jednem (pisziła, krylia). U osiadłych Ostjaków i rosyan mordy bywają siatkowe, jak u nas, rozpinane obrączkami, również ze skrzydłami. Zastawiają je w małych rzeczkach wpadających, albo w jeziorkach, lub głębiej w ląd wchodzących zatokach większej rzeki.

Do łowienia na większej wodzie używają przy brzegach płytkich „broczki" t. j. siatki małej o drobnych oczach, przymocowanej końcami do dwóch drążków na sążeń długich, sieć sama swobodna, tylko sznury górny i dolny naprężają się. Przy łowieniu przyciskają za pomocą drążków dolny sznur w dno rzeki. Tego rodzaju siatek używają najczęściej na tuguny i inne drobne rybki, niezbędne na „naziwę" t. j. ponętę, na haki (samołowy). Za broczką idą włoki, ciepaczkami u nas zwane, z matnią lub bez niej (niewód). Te są już większe, po kilka lub kilkanaście sążni długie, szersze, stosownie do potrzeby, czasem i na sążeń, o oczach potrzebnej wielkości, opatrzone spławkami z kory sosnowej najczęściej (napławok) i ciążkami (gruzki), najczęściej są to spore kamyki w korę brzozową zawinięte, by je można dobrze do dolnego sznura przyczepić. Niewody te opatrzone zwykle „kumułami", a do tych w dalszym ciągu przyczepione sznury, którymi się ciągnie. Tych sieci używają latem i zimą, łowiąc za pomocą przyrębli pod lodem, na jeziorkach lub zatokach, tak samo jak u nas.

Sieci (sieti) wielkie, na kilkadziesiąt sążni długie (30 - 50), szerokie przeszło sążeń a nawet do dwóch, są właściwie złożone z trzech sieci. Zewnętrzna z cienkiego lecz bardzo mocnego szpagatu, o wielkich oczach, wewnętrzna zaś o mniejszych lecz z grubszego sznurka. Sieć opatrzona w odpowiedniej wielkości napławki i gruzki. Taką sieć ułożoną na dwóch łodziach, czasem dwie sieci, które łączą się dopiero na obranem do połowu miejscu, wydają się z łodzi, bardzo uważnie, najczęściej na środku wielkiej rzeki, jak np. Jenisiej, wiosłując ciągle pod wodę. Gdy już sieć wydana, wtedy silniej się wiosłuje, po jakimś czasie łodzie zaczynają się zbliżać, a jednocześnie rybak sieciowy wydobywa sieć, chwytając za oba brzegi t. j. górny i dolny, podaje pomocnikowi, a ten porządnie ją składa na łodzi. Łodzi do takiego połowu, szczególnie gdy dwie sieci się łączą, używają cztero lub sześciowiosłowych, gdyż przy ciągnieniu sieci pod wodę, przy bystrym prądzie, bardzo trudno nawet na miejscu się utrzymać. Połów jest zawsze prawie obfity i piękny. Ryby łowią się czasem nie tylko w sieć. Pamiętam, gdy raz wiosłowałem z połączonemi dwoma sieciami, złowiliśmy jesiostra ważącego siedm pudów (280 funtów cłowych), który zaczepił się jedną tylko tarczą o cienki szpagat sieci zewnętrznej i jak baranek pozwolił się podciągnąć pod samo źwierciadło wody. Spostrzegłszy olbrzyma stanęliśmy, po chwili jednocześnie cięty siekierą w głowę i wzięty na mocną ość, próbował się rzucać jeszcze, wreszcie uwikłany w sieć po kilku minutach z trudem został wciągnięty do łodzi, gdzie jeszcze uderzał ogonem tak silnie, że trzeba go było pokryć całą mokrą siecią i przycisnąć naszymi ciężarami ciała, przy czem należało utrzymać równowagę sporej czterowiosłowej łodzi. Nie rozrąbaliśmy go na części natychmiast dla kawioru (ikry), który ważył przeszło dwa pudy, potrzebował on należytego spokojnego wyjęcia, aby kawior w znacznej części przy ruchach łodzi i braku odpowiednich naczyń nie został uronionym. Przy takich połowach zwykle następuje podział zdobyczy, dzieli się ją na tyle równych części, ile uczestników, sieci i łodzi. Łódka, sieć lub niewód, właściciel (główny rybak zwykle), pomocnik i wioślarze, każdy dostaje równą część (paj), doświadczony rybak zastępujący gospodarza t. j. właściciela sieci, czasem bierze dwa paje, zależy to od ugody. Szczupaki, które się tam obficie poławiają, nie idą do podziału, gdyż tamtejsi mieszkańcy ich nie jedzą, zowiąc poganymi, ponieważ mają zęby.

Oto wszystkie sposoby, jakie poznałem, łowienia zwierza, ptactwa i ryb, używane w okolicy, którą zamieszkiwałem. Podałem je sumiennie pragnąc zapoznać naszych myśliwych z tamtejszymi fortelami łowieckimi, często pięknie, ale nie zawsze rzetelnie opisywanymi. Pewny jestem że każdy z towarzyszów sybirskich stwierdzi prawdziwość podanych opisów.

O PRZYBITKACH

przez

A. R.

Z porządku rzeczy powinienem przejść do wyjasnienia przyczyn, wpływających na tak zmienne rezultaty. Obrałem jednakowoż inną drogę, zmierzającą do tego samego celu. Przedstawiając przybitkę idealną, t. j. taką, która w zupełności zadaniu swemu odpowiada, tem samem podam istotę tych przyczyn, nie powtarzając się. Przybitka idealna powinna takie własności posiadać, aby te przyczyniły się do jak najlepszego efektu strzału, nie działając

przy tem szkodliwie na lufy. Właściwości tych powinna mieć kilka, odpowiednio do zadania, jakie ma wypełnić. Zajmiemy się naprzód przybitką pierwszej kategoryi. Pierwszem takiem zadaniem, jak wiadomo już, jest oddzielenie śrótu od prochu, wraz z ochronieniem, aby gazy podczas eksplozyi prochu nie przeciskały się do śrótu. Najmniejsza bowiem ilość tychże szkodliwie wpływa na strzał, a siły działające tu są te same, jak w wypadku pomięszania prochu z śrótem. Aby celowi temu odpowiedzieć, przybitka posiadać powinna pewną grubość i do ścian luf szczelnie przylegać. Materyał naturalnie musi być nieprzenikalny dla gazów. O wiele ważniejszemi są własności przybitki ze względu na siłę strzału, zwłaszcza że nie stoją w sprzeczności z powyższemi. Przybitka o tyle gruba, że zapewnia tylko nieprzepuszczanie gazów, da nam strzał gęsty wprawdzie, lecz niewystarczający, gdyż o słabej sile. Jak jednak przybitka na siłę wpływać może? Zanim rozwiążę to pytanie muszę nieco zejść z drogi z powodu jednej okoliczności, wymagającej wyjaśnienia, a mianowicie, abyśmy się z szan. czytelnikiem zrozumieli, co nazywam siłą strzału. Każde ciało, pod działaniem jakiejkolwiek siły zostające, zaczyna odbywać ruch. Ruch ten zależnie od natury siły, będzie rozmaity, a ciało podległe mu posiadać będzie zdolność do wykonania pracy. Zdolność ta nazywa się energią kinetyczną i zależy przy innych tych samych czynnikach od natężenia siły, jaka ruch ciała spowodowała. Otóż ostrość czyli siła strzału, to energia kinetyczna, jaką śrót posiada, a objawiająca się zdolnością wykonania pracy takiej, n. p. jak w tym wypadku przebicie przeszkody, przypuśćmy deski o pewnej grubości. Naturalnie że z odległością energia ta słabnie z powodu działania przeciwnej siły, t. j. oporu powietrza, praca więc wykonana będzie w tym razie z mniejszym skutkiem. Porozumiawszy się już z szan. czytelnikiem pod względem pojęcia siły strzału, czuję się zmuszonym jedną jeszcze kwestyę poruszyć, a tą jest tak zwany brandt. O ile słyszałem, ma to być jakaś tajemnicza siła, sprawiająca, że pocisk z broni, produkujących ją, śmiertelnie zwierza razi. Słyszałem nie raz cuda o takich strzelbach, jedno ziarnko śrótu z nich gdziebądź trafiwszy ofiarę, zabijało ją niewątpliwie. Przeciwieństwo do strzelb z brandtem stanowią strzelby miękko bijące. Posiadają bowiem wprost przeciwne własności, nie kładąc zwierza na miejscu, chociażby liczne ziarna śrótu go zraniły. Jak każda rzecz okryta tajemnicą, tak i brandt ów wzbudzał we mnie niezmierną chęć zbadania go. Pytałem się o wyjaśnienie wielu starszych myśliwych, każdy tajemniczo ruszał ramionami, a z odpowiedzi dowiadywałem się, że brandt jest to brandt. Jeden zresztą wykształcony i z umysłem badawczym postawił mi następującą teoryę: Twierdził, że śrót przez tarcie na przemian o miękkie i twarde żelazo w lufach damastowych (są i stalowe) nabiera jakiejś siły nie zbadanej dotychczas, która nadaje mu tę własność rażenia zwierza. Przytaczał na poparcie tego następne doświadczenie: Mając sposobność być przy rznięciu owiec, noże przeznaczone na ten cel jedne magnetyzował, inne nie. Rezultatem było to, że magnetyzowanymi nożami rznięte owce prędzej daleko kończyć miały. Ową siłę, istotę brandtu, uważał jako analogiczną elektryczności lub magnetyzmowi. O ile twierdzenia takie mają podstawę, niech sam czytelnik osądzi; przytoczyłem tu tylko jedno z nich, jako próbkę lepszą, inne są jeszcze więcej fantastyczne i dla krytyki się nie sposobią. Wadą, chcących rozstrzygnąć tę tajemnicę było to, że przypuszczali z góry, że brandt istnieje, a starając się objaśnić jego istotę i warunki, w jakich się objawia, omawiali, co rozumieją pod tą nazwą, lub niemożliwe stwarzali poglądy. Nie wspomnę już o owych receptach, zalecanych na uzyskanie brandtu, są to zabobony przeważnie, a jako takie, wszelkie rozumowanie wykluczają.

Rozpatrzmy dokładnie tę kwestyę, a może dojdziemy, co właściwie jest istotą ostrego strzału czyli brandtu. Czy słyszał kto kiedy o sztućcu, że tenże ma lub nie ma brandtu? Wątpię. Kula dlatego, że przy strzale nie podlega tak licznym wpływom jak nabój śrótu, nie została otoczoną tą aureolą tajemniczości. Inaczej ma się rzecz ze strzelbą. Zwierz z różnych strzelb strzelany z jednych pada na miejscu, z innych pomimo, że jakość strzału mogła być tą samą, albo idzie dalej lub pada lecz skończyć nie może. Pierwsze strzelby posiadają brandt, drugie go nie mają. Wskazówki zewnętrzne w obu tych wypadkach są następujące:

W pierwszym nie zafarbowanie do jakiegoś czasu miejsc gdzie śrót wszedł, w drugim przeciwnie płynąca z nich obfita ilość farby. Sekcye okazały, że w wypadku pierwszym ilość nagromadzonej krwi w wnętrzu (przy strzale w klatkę piersiową) była znacznie większą, aniżeli w wypadku drugim, a zniszczenie wewnętzne o wiele widoczniejsze. Badając rany zadane przez śrót w mięśniach, doszedłem do następujących rezultatów: W wypadku pierwszym mięśnie były o wiele mniej zniszczone, droga śrótu zaledwie się zaznaczała, w drugim zaś rozszarpanie włókien mięsnych bardzo widocznie dawało się spostrzedz. Tłómaczy nam to, dlaczego rany w tym razie zaznaczyły się w krótkim czasie, zwłaszcza, że ruchy silne zwierza konającego powodowały wypływ krwi ze zranionych organów. Ażeby jedno ziarno śrótu w miejsca takie, gdzie według fizyologicznego znaczenia organów śmierć nastąpićby nie powinna, mimo tego zwierzę pozbawiło życia — faktu takiego nigdy nie spostrzegłem. Niezaznaczanie się farbą w pierwszej chwili ran zadanych ze strzelb posiadających brandt, z wyjątkiem miejsc krótkim pokrytych włosem — w błąd wprowadzało zapewniających o prawdzie takich zdarzeń. Wiadomą jest rzeczą, że brandtu własności tylko przy strzelaniu do zwierza występują, przy próbach do celu okazało się tylko, że większą rękojmię brandtu dają strzelby ostrzej strzelające. Strzelba nie posiadająca własności nadania pociskowi dostatecznej siły, w praktyce brandtu nie okazywała. Z prób takich do deski, innych czynników wpływających na tę tajemniczą siłę nie podobna jest wykazać, śledzić bowiem możemy przy nich tylko gęstość i siłę strzału, a od czego te zależą, wytłumaczyć jesteśmy w możności.

Zróbmy doświadczenie z dwoma takiemi strzelbami, z których w praktyce pierwsza posiada brandt, druga zaś strzela miękko, czyli jedna ma jego jeden warunek t. j. zdolność nadania siły pociskowi, druga zdolność tę w zmniejszym posiada stopniu. Gęstość strzału nie mająca wpływu decydującego na brandt, nie będzie nas tutaj obchodziła, zajmiemy się tylko zbadaniem pracy, jaką śrót w obu tych wypadkach wykonał. Jeżeli do tego doświadczenia użyjemy deski tak cienkiej, że śróty w obu wypadkach przechodzić ją będą, to zobaczymy, że w pierwszym razie otwór wchodowy śrótu będzie mniejszy, niżeli średnica śrótu a wychodowy wprawdzie okaże się większym, lecz różnica ta będzie nie wielką. Gdyby za deską bezpośrednio była umieszczoną warstwa wilgotnej nie obsypującej się glinkowatej

ziemi, to śledząc dalszy bieg śrótu spostrzeżemy, że miejsce wejścia zaznaczy się o wiele większym otworem jak wymiar średnicy ziarna śrótu. Zrobiwszy przekrój w tem miejscu t. j. usunąwszy wierzchnie warstwy ziemi aż do tegoż, uderzy nas zarys przebytej przez śrót drogi. Zarys ten będzie przedstawiał stożek, którego podstawą będzie otwór wchodowy, wierzchołkiem zaś ziarno śrótu — to kres naszego badania. Zróbmy to samo doświadczenie ze strzelbą. drugą. Otwór wchodowy śrótu będzie jeżeli nie większy, to taki, jak wymiary jego (zależnie od drzewa), wychodowy zaś zaznaczy się mniejszem lub większem odłupaniem włókien drzewnych. Mniejsza różnica przedstawi się w zarysie drogi śrótu w warstwie ziemi. I tu stożek da się spostrzedz, lecz jak różny co do wymiarów. Uderzy nas bardzo wymiar podstawy i wysokości przy porównaniu z rezultatem pierwszej próby. Wymiar ten zmniejszy się nader widocznie. Mogliśmy się tego spodziewać gdyż i w pierwszem doświadczeniu już mieścił się ten rezultat śrót bowiem wykonując pracę przezwyciężenia siły oporu cząstek ziemi, zmniejszał swą energię, a zaznaczając stożek, coraz mniejszy otwór czynił, wchodził bowiem w warunki drugiej próby. (Ciąg dalszy nastąpi).

STARA GAWĘDA.

(Dokończenie.)

Wrócił nasz pan z zagranicy, a zasłyszawszy o mnie kazał rodzicowi, aby oddał syna do dworskiej służby. Niechętnie odwiózł mię pan ojciec do Żołudka, gdzie Tyzenhauz mieszkał. Dostałem jurgielt, barwę, a prócz tego później, gdym zasłużył na pańskie zaufanie, miałem z jego szkatuły wynagrodzenie. Mniej wychodziłem na łowy, ale jednych niezapomnę do grobowej deski. Miał książe Radziwiłł w Nieświeżu wielkiego faworyta niedźwiedzia, którego zwano Borutą. Ten od małego wychowany znał dobrze ludzi, chodził sam po mieście, żydom figle płatał, którzy żeby się od niego obronić, dawali mu zawsze mięsa i miodu dostatek, przybiegał na zawołanie, tańcował, czapki umiał zdejmować, a nawet gdy byli goście a osobliwie cudzoziemcy, doskonale służył księciu do stołu, trzymając talerz pod pachą za stołkiem, i odmieniając go panu, prawda że zawsze za prędko, ażeby zjadać pozostałe potrawy. Bardzo się Tyzenhauzowi podobał Boruta, chciał go użyć do baletów, które dla Króla gotował; przymawiał się o niego Radziwiłłowi, ale napróżno. — Panie kochanku wolałbym folwark darować, jak ustąpić Borutę. — Skończyło się na tem, że gdy baletmistrz Włoch *Petinety* ułożył umyślnie dla Boruty balet, gdy go mój pan nie dostał, musiano w czasie bytności królewskiej w Grodnie, zamiast żywego niedźwiedzia, obszyć chłopaka w niedźwiedzią skórę. Trzebaż żeby Boruta ni ztąd ni zowąd poczuwszy może jaką kochankę w kniei, nagle się wydarł z Nieświeża i drapnął do boru. Radziwiłł rozgniewany całą zgraję myśliwych, dwór, pańszczyznę i żydów wyprawił, ażeby go ująć; próżno z tydzień chodzili po wszystkich Radziwiłłowskich puszczach, czy się ukrył na sośnie, czy drapnął w dalekie strony za niedźwiedzicą, ani śladu pana Boruty. W miesiąc może donosi mój rodzic Tyzenhauzowi, że w naszych kniejach jest jakiś osobliwszy niedźwiedź, który się włóczy po wsiach, a co gorsza domy nachodzi, z garnków wyjada, a chłopom kiedy go odpędzają, kijem boki łomocze. Mój pan, który zawsze darł koty z Radziwiłłem, aż wyskoczył w górę z radości krzyknąwszy: „Dali Bóg czy to nie będzie Boruta!“ Obróciwszy się do mnie rzekł: „Słuchaj Szymku, zabierz całe moje myśliwstwo, dwór, zgoła co tylko żyje oddaję pod twoje rozkazy, a sprowadzisz mi tu Borutę; gdyby uciekał to choć z niego skórę, ażebym ją mógł Radziwiłłowi posłać i pokazać, że com chciał, to mam“. Podrapawszy się w czuprynę: „dobrze jasny panie, odrzekłem, ale muszę go wprzódy wytropić, czy jest jeszcze w naszych kniejach, czy czasem niewrócił do puszczy Radziwiłłowskiej, bo tam, to już niepójdę“. „Rób co chcesz i jak chcesz, — rzekł pan — bylem ja go miał żywego lub zabitego“. I dał mi konia i garść pieniędzy na drogę. Naprzód pojechałem do mego rodzica dla wywiedzenia się o tropy, ale niecierpiąc mnie za to, żem przestał mu bić lisy, prawie z domu wygnał mówiąc: kiedy zlizujesz pańskie talerze, to idź szukać takiego samego jak ty! — bo powszechnie mówiono, że Boruta u stołu służył za pomywacza i talerze zlizywał. — Weź z sobą, prawił dalej, pańską pieczenię, a pewnie się z sobą u pieczeni spotkacie. Z pokorą przyjąłem gniew pana ojca, i ruszyłem sam szukać w kniei kosmatej zguby. Jeżdżę dzień po lesie, jeżdżę drugi i trzeci napróżno, Boruty ani śladu, szczęściem raz znużony zajeżdżam do znajomego gajowego, który doniósł mi, że jest niedźwiedź w kniei gęsto podszytej, a zwanej *Czarny Kierz*, ale tam dla gąszczu ciężko dojechać i trzeba pieszo bobrować. Zostawiam więc u gajowego konia i sam idę; chodzę dzień jeden i drugi po puszczy, ani śladu niedźwiedzia, ale gromady wilków chodzą po lesie, wyją a nawet rzucają się na ludzi, bo to było około Gromnicy. Nakoniec piątego czy szóstego dnia pod wieczór, tak zbłądziłem w lesie, że noc ciemna zaskoczyła, a tu ani wybrnąć z gąszczu, ani zobaczyć wsi lub chaty. Nie wiem gdzie jestem, głód dokucza, sięgam do torby, gdziem miał zapas niemały z pańskiego stołu, ażem zadrżał, próżna, ani kawałka suchego chleba, a w około wilcy wyją. Chodzę i dumam stroskany, odwiodłem kurek od strzelby, tłukę się od drzewa do drzewa, aż z zachmury wyjrzał księżyc. Spoglądam w górę, widno jak w dzień od śniegu, gwiazd i miesiąca; na wierzchołku ogromnej sosny doglądam starą barć wydartą po pszczołach, owoż myślę sobie tam będzie najlepiej, tam wilki nie dojdą, przespię się w ulu, może i miodu co znajdę na posiłek, a jutro z pierwszą zorzą hała drała do domu, niech diabli wezmą Borutę i mego Pana. Z młodu jeszcze umiałem wdzierać się na drzewa za ptakami, wieszam strzelbę na gałęzi, włażę na sosnę bardzo zręcznie, bo wilcy już tak blisko, że mało mi hajdawerów nie podarły. Pakuję się do barci, siedzę jak w chałupie odetchnąłem swobodnie, dziękuję Bogu, liczę sobie jak paciorki ogromne stado wilków, co pod drzewem wietrzyło moje ślady po śniegu. Macam po bokach, niema miodu, wykręcam się w ogromnej barci, jakie zwykle bywają w puszczach litewskich, szukam głębiej, nierozważny zaledwom

puścił się rękoma, spadam jak w otchłań do samego spodu sosny, bo była od starości spróchniała. Otóż tobie Szymku łowy! i Boruta przeklęty! jesteś jakbyś się zapadł we wnętrzności ziemi, jakby zamurowany żywcem. Chcę się wygramolić do góry, ani sposobu, za co się chwycisz, to próchno w garści, strach i utrudzenie siły mi odejmują, polecam duszę Bogu i zasypiam. Ani wiem, jak długo spałem, ale zbudziwszy się widzę w górze dzionek, bo błyszczy światełko, krzyczę z całej siły, lecz przychodzi mi myśl zaraz, że to próżne wysiłki, bo któż mnie usłyszy z pośrodka głębokiej puszczy. Umilkłem, miasto krzyku odmawiałem konającego modlitwę, gotując się na śmierć rychłą, wtem słyszę wyraźnie, że coś chodzi koło sosny, drapie się po niej coraz wyżej, jakby coś właziło na nią, nakoniec górny otwór zasłonił się całkiem i zupełna nastąpiła ciemność. Myślę, że oczy śmierć mruży, ale nie, coś spuszcza się na mnie, coraz, coraz niżej, i jakiś ogrom kosmaty przygniata mię do ziemi. Poznaję, że to niedźwiedź, niepamiętam teraz czy ze strachu czy z rozpaczy chwytam go za zadnie nogi, niemoże się do mnie obrócić, bo i jemu ciasno, ryczy z przestrachu, chciałby iść w górę, ale mu ciężko, bo jeden wlazł a dwóch ma ciągnąć: kiedy niedostanę z torby kozika, jak zacznę go dźgać, niedźwiedzisko w górę całą siłą, ja go trzymam a kolę, niewyszło dwóch pacierzy a już jesteśmy w otworze barci. On zwalił się jak kłoda na ziemię, ja na niego, on się potłukł, a mnie było miękciej, bo na futro jego i tłuste połcie zleciałem, i prędzej się zerwałem z ziemi od kosmatego wybawcy. Zaledwiem stanął na nogi, cóż ja baczę? a to mój znajomy Boruta, łatwo go poznać; teraz zrozumiałem, dla czego zbiega nikt wytropić nie mógł, bo pewnie ten poganin krył się po barciach. Pochwyciłem go zaraz za obrożę, mruczał *mysio*, ale jakem zaczął kijem okładać, podniósł się pokornie, wtedy wsiadłem na Borutę, a ze strzelbą w jednym a kijem w drugim ręku tak dobrze zdołałem nim kierować, żeśmy przed wieczorem jeszcze zajechali na dziedziniec mego pana. Co to była za radość i podziwienie całego dworu, śmiechy z takiego wjazdu, ale mnie nie brało na śmiech, wróciłem jak z tamtego świata, znużony, głodny, zbity, z nędzy, głodu a ze strachu włosy mi osiwiały tak jak są i teraz. Uradowany Tyzenhauz dał mi całą kiesę dukatów, alem mu podziękował za myśliwską służbę.

Tu Pan Cześnik odetchnął, a widząc zajęcie słuchaczy swoich, popił nieco z puhara i kończył: „Odtąd Konopka został mianowany szyprem nad statkami, którymi Dźwiną zboże i pieńkę corocznie do Rygi Pan Tyzenhauz spławiał; chyba czasem, kiedy niebyło pracy na statkach, zachodzi do kniei. Nie tu miał przypadek, ale w drodze z Rygi, jak to własnemi słowy Konopki opowiem.“ Płynąc corocznie do Rygi a z pieniędzmi wracając napowrót bryczką, znałem dobrze wszystkie drogi i manowce, któremi co prędzej można było do domu wrócić. Jednego roku zapóźnośmy od *pala* wyruszyli i późno stanęli w Rydze, rok był niegodziwy, handel upadł z powodu wojny na morzu, długo staliśmy z naszymi *strugami* i *wicinami* w Rydze. Choć się zboże sprzedało, do samej prawie zimy siedziałem w Rydze za pieniędzmi, gdyż plenipotent Tyzenhauza pan starosta Onoczko, przyjechawszy pocztą, co mógł na niemcach wycisnął, na resztę kazał mi czekać, zostawiwszy kałamaszkę, chłopaka i parę koni. Pamiętam, że to był adwent, gdy przecie domęczyłem ich, że mi resztę oddali, zabrawszy się z manatkami wyruszyłem ku domowi. Szczęśliwie Bogu dzięki bez żadnego przypadku dojechałem drożynami najbliższą drogą do Wilna, a dalej aż do miasteczka Lejpuny, już tylko mil kilka od Żołudka, gdzie chciałem koniecznie stanąć tegoż dnia; dla tego popasawszy już wieczorem ruszyłem dalej. Zadymka była niezmierna, śnieg tak zasypał, że drogi ani śladu, konie ustały, ciężko w śniegu nocować, więc po wietrze i po niebie kierując się pchamy się dalej. Widzę, że w nieznanej jestem stronie, bagna, chrusta, nigdzie ani toru ani po drzewie zaciosów, po kilku godzinach drogi piekielnej wywróciwszy na bagnie, wpadłszy po uszy w dół wilczy, widzę światełko, do niego ciągniem. — Była to nędzna karczemka na rozstajnych drogach, a w niej pełno żydzisków okropnych, obdartych, więcej podobnych do diabłów niż do ludzi, było ich dwunastu, a ja sam ze szkatułą ciężką. Otożem trafił z deszczu pod rynnę. Chciałem dalej jechać, ale konie ustały, uciekać niesposób i żydzi dogonią i wilcy zjeść mogą. W imię Boże zostaję, mam dubeltówkę nabitą, spać nie będę, aby konie popasły i zadniało, rozpytam o drogę i dalej ruszę. — „A dokąd ta droga?“ pytam gospodarza. — „Do Troków“ odpowiada spoglądając jak sęp na świeże ścierwo. Tam do diabła, ja dalej teraz od domu niż byłem w Lejpunach, nietracąc miny pod płaszczem przenoszę szkatułę, wsuwam pod poduszkę, stawiam obok dubeltówkę i kładę się na stole. Żydzi między sobą szwargoczą, rachu, rachu! jak psy za zającem, gdy go mają na oku, to wchodzą to wychodzą, to się zmawiają. Słyszę, jak okienicę z dworu szczapami podpierają, snać ażebym im nie uciekł, nareszcie pomału po jednemu się wynoszą, to za piec, to do stajni, a kilku pod strych nad izbę, świecę zagasili, ogień ledwie na kominie tli. Oj źle! już po mnie, mówię po cichu pacierze, a nie tracąc ducha trzymam dubeltówkę chrapaniem sen udając. W tym słyszę, że cichuteńko deska w pułapie się rusza, a około mnie garnek wody wylano wprost na dekle dubeltówki, a więc ostatnia nadzieja zginęła. Udaję, żem się przebudził, przewracam się na drugi bok, i słyszę, że zaraz się zasunęła deska na swoje miejsce. Znowu udaję, że śpię i chrapię, a cichuteńko pomaleńku zsuwam się pod stół, i tak przyczajony siedzę zostawiwszy płaszcz i futro na stole; po krótkiej chwili znowu się otwiera deska w pułapie, za nią druga i trzecia, a z tego otworu spada coś ciężkiego jakby kłoda na moje futro. Jęknąłem, uderza po raz drugi, znowu stęknę głęboko jak konający, a po kilkakrotnem uderzeniu ucichłem, już nie żyję. Słyszę jak żydzi po schodach pędzą do alkierza, ja znowu cichaczem na stół włażę, wpadają do izby, ale na moje szczęście nie zapalają świecy i po ciemku szwargoczą, macają mnie, przewracają, kułakują dla przekonania się czy przypadkiem nie żyję. Zatrzymałem dech, jak przed niedźwiedziem tak dobrze, że mając mnie za zabitego, do gołego jak Pan Bóg stworzył rozebrali, suknie, płaszcz, futro, dóbeltówkę zabrali, szkatułę rozbili i pieniądze po ciemku między siebie rozdzielili. To szczęście, że przyzwyczajony do częstego rozmawiania z żydami, co do mego ojca po futra lisie przyjeżdżali, mogłem dobrze ich zrozumieć. Chcieli niektórzy zapalić świecę, ażeby się lepiej pieniędzmi dzielić, lecz stary herszt niepozwolił, bo mogłyby fury, co jadą do Wilna, zobaczywszy światło wstąpić. Dopiero nastąpiła rada, co ze mną zrobić? aż mi włosy na głowie powstały, gdym słyszał niektórych rady, żeby mię w ziemi głęboko zakopać, albo w przyręblu na bliskim błoniu utopić, ale i ziemia i woda zamarzły. Jeden radził

w kawały pokrajać i w piecu spalić, i to przecie nie podobało się staremu, boby smród wydał, że jakieś zwierze spalono, a tu już dnieć poczynało i fury jakie mogły nadjechać. Mądre głowy więc starszych postanowiły, żeby mnie do jutra jak można zachować, a w nocy do boru zawieść, porąbać i wilkom na pastwę wyrzucić; żeby zaś gdy kto w dzień wstąpi do karczmy, albo strażnicy szukając kontrabandy nie znaleźli trupa w karczmie, przeto wpakowali mnie w próżną beczkę, dno zabili mocno, włożyli na wóz i wywieźli do gęstego boru, gdzie zrzucili w krzaki i odjechali mając przyszłej nocy po beczkę wrócić. Otóż jeszcze żyję, ale miły Boże w jakim stanie! Mróz trzaskający, a ja bez koszuli marznę, chce się wydobyć, rozpieram boki i dno z całej siły, mocna beczka ani sposobu jej rozbić, krzyczeć na cóż się zda, któż usłyszy chyba żydy; więc znowu oddaję Bogu ducha i leżę jak kłębek zwinięty. Słyszę coś chodzi koło mnie, stąpa, warczy, wyglądam otworem czopa i widzę całe stado wilków, snać poczuwszy świeże mięso wąchają, gryzą beczkę, drapią pazurami obręcze, przewracają na wszystkie boki. Jeżelim klął niedawno, żem niemógł beczki zgruchotać, jakże byłem teraz szczęśliwy, że tak była mocna. Nakoniec jeden z największych wilków, zabierał się jeszcze raz próbować czyby mu się nieudało, kiedy wyciągnąwszy rękę przez otwór nie chwycę go za ogon, wilczysko przestraszone w nogi, beczka za nim, bo go mocno trzymam, reszta wilków na wszystkie się strony rozbiegła, a my z wilkiem drała do boru, uderzając o drzewo to na prawo to na lewo, aż się beczka rozbiła i wilk zmachany i przestraszony upadł; jam się wyrwał z beczki, uchwycił za kark wilka i dodusił. Oto jest skóra z niego, mówił Konopka wskazując na starą wilczurę. Goły, zziębnięty ruszyłem co żywo przed siebie, ażeby się rozgrzać, dopadłem chaty leśnika, który się przeląkł rozumiejąc że upiór. Opowiedziałem mu moje przygody, przyjął mnie, ogrzał, nakarmił, znając z reputacyi w całej Litwie głośnej, jakiem Borutę Panu memu przywiódł. Niedaleko były dobra Tyzenhauza, dał znać, przybiegli chłopi z pałkami, gajowi z bronią, otoczyliśmy karczemkę, szkatułę z pieniędzmi, suknie, konie bez woźnicy, bo go zabili, odebraliśmy, żydów powiązali i do Wilna odwieźli, gdzie wkrótce byli ćwiertowani.

— „Dzięki panu Cześnikowi za tak ciekawe dyktyryiki“ wyrzekł z ukłonem i uśmiechem pan Chorąży; słyszałem i ja coś o tym Konopce, ale nie z takimi szczegółami. — I pan Chorąży bierze to za dyktyryiki? zawołał rozgniewany nieco Cześnik, to czysta prawda. Gospodarz domu nalawszy próżne puhary, wesoło zawołał: „wierzmy! gdy szanowny Cześnik ręczy nam za prawdziwość faktów.“ „Głową moją!“ krzyknął Cześnik, „jakom słyszał z ust samego Konopki.“ — „A więc pijmy,“ odrzekł gospodarz „zdrowie tej prawdy!“

Cześnik się odobruchał i prawił ochoczy: „psuje się ten świat mości Skarbniku! wierzono dawniej Radziwiłłowi panie kochanku, kiedy sam opowiadał, jak go zabito przy szturmie Nieświeża, a teraz miły nawet pan Chorąży jak zfrancuziały niedowiarek, nie chce wierzyć staremu myśliwemu.“ — „Mea culpa! mea maxima culpa! — wyrzekł Chorąży pochylając nieco głowy: „wierzę i opozycyi więcej nie zrobię.“

Puhar z wytrawnym węgrzynem przerwał gawędę, a wkrótce całe grono poważnych starców, w posuwistym polonezie oddawało hołd płci pięknej, tańcząc z tą miną, powagą i tym ruchem, jakie tylko ich lata odbijać z całym urokiem mogą. *Kaz. Wład. Wójcicki.*

KORESPONDENCYE.

Łowiectwo traktowane było dawniej jako wyłączny przywilej możnych, następnie jako uprawniona rozrywka właścicieli ziemskich, przeradzająca się często w niepohamowaną namiętność; dopiero przed kilkunastu laty, w skutek ogłoszenia tymczasowych przepisów o polowaniu, łowiectwo weszło u nas na właściwe tory i powyższe prawidła, jakkolwiek nie dosyć jeszcze ściśle przestrzegane, zaczynają już wydawać owoce. Co do samych prawideł, to jak powiedziałem wyżej, noszą one na sobie cechę tymczasowości i zapewne w niedługim czasie ulegną niektórym modyfikacyom, zgodnie z miejscowymi warunkami każdej okolicy pod względem zwierzostanu. Nie jest moim zamiarem wdawać się w krytyczny ich rozbiór, gdyż to chybiłoby zupełnie celu, myślą ich przewodnią jest i pozostanie nadal ochrona zwierzyny, poszanowanie prawa własności posiadacza ziemi nawet nad dziko żyjącymi mieszkańcami jego pól i lasów, oraz ukrócenie samowoli i nadużyć, popełnianych niestety jeszcze dość często nie tylko przez tak zwanych kłusowników, czyli raubszyców, ale nawet przez myśliwych, należących do klas inteligentnych, którym nie braknie ani ochoty, ani ulepszonej broni, ani umiejętności celnego strzelania, tylko nie dostaje, że się tak wyrażę, sumienia myśliwskiego. Nie od rzeczy będzie zastanowić się nieco nad naszym dorobkiem w tej gałęzi kultury. Pod tym względem daleko nam bardzo jeszcze do zamożności zwierzostanu w Saksonii, w Czechach, na Szląsku i w Prusiech. Zamożność ta osiągniętą została za pomocą troskliwej ochrony zwierzyny łownej i stosowania z nieubłaganą surowością kar administracyjnych za lekceważenie przepisów o polowaniu i porze jego zamknięcia. Obowiązujące u nas przepisy dozwalają polowania na zające do połowy Lutego. W Prusiech pora zamknięcia tego polowania nie jest stale określoną, lecz zależy od uznania władz administracyjnych, stosujących się pod tym względem do stanu atmosfery i większej lub mniejszej surowości zimy. Owoż zdarzyło się, iż pewien młody człowiek, namiętny myśliwy z rodu, we dwa dni po ogłoszeniu w bieżącym roku zamknięcia polowania, zabił zająca, za to wykroczenie pozbawionym został na pięć lat prawa polowania, czyli t. zw. *Jagdscheinu.* Znaczna większość naszych myśliwych cieszy się w duszy, iż nie mieszkając w Prusiech, wolną jest od ulegania takim drakońskim prawom, a jednak we własnem sumieniu musi przyznać, że taka surowość prawa jest konieczną i że doniosłość jej tem jest większą, jeśli dotyczy osób należących do ukształconych warstw społeczeństwa, jako zbawienny przykład, tamujący niewczesne zachcianki innych, nieumiejących sobie jasno zdać sprawy,

że zasada: *dura lex, sed lex*, nigdy obowiązywać nie przestanie. Jako przeciwstawienie temu przytoczę tu fakt inny, który się u nas wydarzył.

Wiadomo, że obowiązujące u nas przepisy dozwalają strzelania sarn samic tylko w miesiącach Wrześniu i Październiku. Pomimo to przed kilku tygodniami jeden z myśliwych na polowaniu u właściciela ziemskiego, dla którego sprawy łowiectwa i ochrony zwierzyny są obojętne, świadomie ubił kozę, ponieważ właściciel nie zastrzegł wyraźnie oszczędzania samic, jakiego wymaga wyraźny przepis prawa. Mojem zdaniem właściciel lekceważąc przepisy pojął prawo własności w zbyt szerokiem znaczeniu, lecz główna wina spada na wytrawnego myśliwego, który w tym razie uniesiony namiętnością, nie liczył się z myśliwskiem sumieniem i dla chluby ze szczęśliwego strzału skompromitował myśliwską swą reputacyę.

Na dorocznem polowaniu, odbytem w Listopadzie ubiegłego roku w pewnych dobrach, położonych w niezbyt wielkiej od Warszawy odległości, właścicielka zastrzegła wyraźnie, że winny zabicia sarny zapłaci 25 rubli kary na rzecz zakładów dobroczynnych. Skutek był taki, że pomimo obfitości sarn od strzałów padły tylko dwa kozły, gdyż każdy z zaproszonych myśliwych (przeważnie mieszkańców Warszawy), pilnie baczył na cechy, odróżniające obie płcie, aby nie wziąć przypadkiem kozy za bezrogiego w tej porze kozła. Zdobycz była wprawdzie mniejsza, ale sława myśliwych nie doznała wstydu i nikt nie poniósł niepotrzebnego wydatku. Tutaj przychodzi mi na pamięć jedno wydarzenie z przed lat może trzydziestu, kiedy to jeszcze buta i hulaszcze zachcianki stanowiły cechę pozłacanej młodzieży, nad którą zawisł baltazarowemi głoskami wypisany wyrok: „*morituri*“. Pewien hrabicz przybył na polowanie do krewnych w Poznańskie, tam mu zapowiedziano, że za zabicie samicy sarny ustanowioną jest kara w wysokości 25 talarów. Młodzieniec z angielską flegmą przyjął do wiadomości tę zapowiedź i na polowaniu strzelał tylko — do samych kóz, których położył cztery. Z równą flegmą *comme un bon joueur* zapłacił 100 talarów i odjechał pozostawiając wszystkich obecnych zdumionych jego głupotą.

Czasy to już zbyt odległe i przez cały szereg lat wielu rzeczy zmieniły się na lepsze, takich przykładów dzisiaj bodaj już nie znajdziesz. Ale wracając do przedmiotu, chcę tu przytoczyć kilka rezultatów większych dorocznych polowań w kraju na drobną zwierzynę, świadczących, że się znajdują i u nas właściciele, którzy i w tej gałęzi gospodarstwa weszli na właściwą drogę. I tak na polowaniu w Skotnikach pod Sochaczewem, odbytem dnia 30. Grudnia zeszłego roku ubito w 18 strzelb 102 zające. W dobrach tych przed kilkunastu laty zwierzostan w skutek tępiącego zające polowania z ogarami i chartami doszedł był do takiego stopnia upadku, że na kilkudziesięciowłókowej przestrzeni nie można było naliczyć więcej jak 5 zajęcy. Ceniąc ubite zające tylko po 75 kop., ogólna ich wartość wyniesie 76 rubli 90 kop. Odliczając z tego 26 rubli 50 kop. na koszta nagonki i urządzenie polowania, pozostanie jako dochód czysty 50 rubli. Nie wielka to wprawdzie kwota, ale zawsze świadczy, że to, co dawniej stanowiło ponętną wprawdzie, ale kosztowną i dużo czasu marnującą rozrywkę, dzisiaj stało się źródłem dochodu. Rezultat taki osiągniętym został nie innymi środkami, jak tylko ochroną zwierzyny, zapobieganiem kłusownictwu i tępieniem zwierząt i ptaków drapieżnych, oraz włóczących się domowych psów i kotów. Jak zaś rozmnożenie się lisów ujemnie wpływa na zwierzostany, dowodzi tego polowanie, odbyte w ostatnich dniach Grudnia z. r. w Różance, dobrach hr. Zamojskiego. Na polowaniu tem ubito 16 lisów, a zająca tylko jednego. Zdobyte zatem piękne lisie skórki zapłacone zostały bardzo drogo zupełnym prawie brakiem zajęcy.

Z „Kaliszanina“ czerpiemy wiadomość, że w Grudniu z. r. w dobrach Biskupice, w Konińskiem, u p. Zygmunta Taczanowskiego, na polowaniu trwającem dwa dni, ośmiu myśliwych ubiło 295 zajęcy, 7 kozłów i 2 daniele. Przed dwoma laty wypuszczono ze zwierzyńca kilkanaście sztuk danieli na rozmnożenie na swobodzie. Dzięki starannej opiece ilość ich znacznie się powiększyła tak, że rzadki ten i tylko w zwierzyńcach hodowany zwierz w przyszłości wzbogaci liczbę gatunków krajowego zwierzostanu.

W połowie stycznia b. r. w dobrach Czarnożyły, własności hr. Działyńskich, w pow. Wieluńskim, kilkunastu myśliwych w przeciągu jednego dnia zabiło przeszło 200 zajęcy.

Dotychczas wszystko dobrze, nawet bardzo świetnie, lecz teraz uwidocznia się odwrotna strona medalu. Zające wysłane zostały na sprzedaż do Łodzi, gdzie nie znalazły nabywców i musiały być odwiezione napowrót do domu, po drodze sprzedawano je po 50, a nawet po 30 kop. To stanowi już prawdziwe marnotrawstwo i ujemną stronę obfitości zwierzyny. Gdyby te zające, nie znajdujące zbytu w Łodzi, odbyły czterogodzinną podróż do Warszawy, rezultat byłby korzystniejszy. W tymże samym prawie czasie, po polowaniach odbywanych w dobrach książąt Lubomirskich pod Kłomnicami, nadesłano w kilkudniowych odstępach czasu razem około 150 zajęcy, które niezwłocznie rozprzedane zostały po 80 kop. za sztukę.

„Kuryer Warsz.“ z dnia 29. Stycznia b. r. zawiera wiadomość, iż w lasach i na polach należących do dóbr Spethal, położonych nad Wisłą, naprzeciw Włocławka, na polowaniu trwającem zaledwie 5 godzin, w 12 myśliwych ubito 111 zajęcy. Sarny i kuropatwy były wyłączone, ponieważ właściciel pan Rutkowski uważa, że ilość ich jeszcze jest za szczupłą, że bezwarunkowa ochrona dla nich jest nieodzowną. Rezultat ten wymownie świadczy o powodzeniu wytrwale przedsiębranych przez p. R. usiłowań, w celu rozmnożenia na terytoryum swojem pożytecznej łownej zwierzyny, ku czemu obok wstrzemięźliwości w polowaniu, posługuje mu tępienie drapieżnych ptaków i czworonożnych zwierząt, pomiędzy któremi największe szkodniki lisy, nawet futrem swojem od ciężącego na nich wyroku wykupić się nie potrafią.

Do jakiego stopnia zamożności doszedł zwierzostan w ościennych prowincyach, za przykład może nam posłużyć rezultat polowań w Poznańskiem, świadczący, iż zwierzostan tam, dzięki racyonalnej ochronie zwierzyny, zrównał się już z zasobnością Czech lub Szląska. Na polowaniach odbywanych w ciągu dwóch tygodni w dobrach ordynacyi Rydzyńskiej ks. Ant. Sułkowskiego, ubito 1490 zajęcy, 41 bażantów i 4 jelenie; w dobrach Max. i Macieja hr. Mielżyńskich w tymże samym czasie 1400 zajęcy i 7 lisów.

Wiem, że niejeden myśliwy starej daty powie, że taka jednorazowa rzeź zwierzyny traci cały urok, jaki posiadały dawniejsze gwarne i tłumne polowania z ogarami i że milszym był dla prawdziwego myśliwego mniejszy, a nawet stosunkowo bardzo mały rezultat łowów nad tę obfitość, osiąganą kosztem długiego wyczekiwania tej jednej upragnionej chwili i bezwarunkowego poddania się rygorowi obowiązujących przepisów, stosowanych z bezwzględną surowością. Twierdzeniu temu nie można odmówić słuszności, ale żelazna konieczność zmusza nas w dzisiejszych czasach do osiągnienia materyalnych korzyści nawet z naszych rozrywek. *Stanisław Rewieński.*

Warszawskie Towarzystwo łowieckie. Inicyatorowie Towarzystwa łowieckiego bardzo szczęśliwą myśl powzięli, powołując do życia projekt stowarzyszenia, które dawno już u nas istnieć było powinno. Że jednak *„vaut mieux tard que jamais“*, dobrze że choć teraz pomyślano o ochronie i pomnożeniu zwierzostanów, które przy dotychczasowej gospodarce w niedługim czasie przedstawiałyby ostatni obraz zaniedbania. Znając zamiłowanie do łowiectwa u nas, nie wątpimy, że nowe Towarzystwo sympatycznie przez ogół zostanie powitane, a w streszczeniu podając dziś jego zasady organizacyjne, opatrzymy je następnie pewnemi uwagami.

Towarzystwo stawia sobie za zadanie: dostarczać zwolennikom myśliwstwa polowań rozmaitych rodzajów, przy pomocy funduszów zebranych ze składek od stowarzyszonych, których to wysokość powinna być dostępną dla ludzi mniej zamożnych, pilnować surowego wykonywania przepisów i praw, myśliwstwo u nas obowiązujących, wreszcie uszlachetniać rasę psów myśliwskich. Pierwsze z tych zadań zamierza Towarzystwo osiągnąć, jak to wyżej powiedziano, przy pomocy funduszów, wpływających z jednorazowych wkładek, lub stałych opłat ze strony członków, a które obracane będą na wydzierżawianie pewnych przestrzeni dla łowów, administracyę i t. p. Musimy tu sprostować wiadomość, podaną przez niektóre pisma warszawskie, jakoby członkami przyszłego Towarzystwa łowieckiego mogli być tylko członkowie War. Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Owszem, każdy może być członkiem Towarzystwa łowieckiego, kogo tylko balotowanie tajne zatwierdzi. Jednak tak obrany członek winien zapisać się na uczestnika warsz. Tow. opieki nad zwierzętami, co prócz przywilejów, jakie ta instytucya zapewnia, da mu prawo bezpośredniego komunikowania się z zarządem wspomnianego Towarzystwa. Jeśli n p. członek Towarzystwa łowieckiego spostrzeże, że gdziekolwiek i przez kogokolwiek przepisy i prawa o ochronie zwierzyny nie są szanowane, może natychmiast odwołać się do zarządu Towarzystwa opieki nad zwierzętami, wzywając je, by przedsięwzięło odpowiednie środki. Nie rozumiemy nawet, jak nasze pisma mogły tak fałszywie interpretować jeden z paragrafów projektu Towarzystwa łowieckiego. Postanawiać bowiem, że tylko uczestnicy Towarzystwa opieki nad zwierzętami mogą być członkami Towarzystwa łowieckiego, byłoby to samo, co rzecz z zasady dobrą i pożyteczną skazywać na zagładę. Prostując zatem tę mylną wiadomość, którą podały kuryery warszawskie, a nawet „Gazeta Rolnicza“, przechodzimy do następnych paragrafów projektu. Uszlachetnienie rasy psów myśliwskich ma się przeprowadzić za pomocą urządzenia psiarni zarodowej, dla której miejscowość i cały sposób postępowania oznaczy zarząd Towarzystwa po jego ostatecznem zorganizowaniu.

Przechodząc do szczegółowych przepisów działalności Towarzystwa, widzimy, że członkowie jego mają prawo do wszelkiego rodzaju polowań, jako to z psem legawym, na tokach, na ciągnące ptactwo, polowania na stanowisku, z gończymi i wreszcie z naganką. Tak od osób prywatnych jak od instytucyj rządowych Towarzystwo na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu wynajmować będzie pewne przestrzenie gruntów dla urządzenia na nich polowań, a nawet, o ile środki na to pozwolą, pewne przestrzenie może kupować na własność. Na tak wydzierzawionych lub nabytych terytoryach polować mogą tylko członkowie Towarzystwa, osobom zaś obcym wstęp bezwarunkowo jest wzbroniony, a Towarzystwo przestrzega swych praw własności, ustanawiając stróżów, wywieszając stosowne ostrzeżenia na słupach granicznych i robiąc odpowiednie ogłoszenia w pismach. Co do samego polowania, to polowanie z psem legawym na ciągnące ptactwo, na tokach i stanowisku, dozwolone jest każdemu członkowi każdorazowo, z zachowaniem tylko praw i przepisów tak do tej pory obowiązujących, jak i w przyszłości ustanowić się mających. Polowania zaś z naganką lub gończymi odbywać się mogą tylko partyami, których członkowie-uczestnicy porozumiewają się z sobą poprzednio i zawiadamiają administracyę o czasie i miejscu polowania. Ze swej strony ta ostatnia sama obowiązaną jest wyszukiwać miejscowości dla łowow dogodne i o takowych członków Towarzystwa powiadamiać. Organizując polowania partyami, członkowie ich na zebraniu ustanawiają marszałka łowów i obliczają rachunek wydatków na urządzenie polowania, które uczestnicy w równej części płacą. Marszałek polowania jest jego kierownikiem, rozporządza i wydatkuje sumą, złożoną przez uczestników i przestrzega porządku całego polowania. O ile właściciele gruntów dzierzawionych przez Towarzystwo na to zezwolą, wolno będzie na nich domki myśliwskie stawiać, a ich budowa, konserwacya i t. p dopełniać się będzie z funduszów Towarzystwa. W stosownie urządzonych strzelnicach członkowie Towarzystwa wprawiać się mogą w strzelanie. Rubryka „osobisty skład i fundusze Towarzystwa“, członków rozdziela na rzeczywistych, założycieli i honorowych. Członkowie założyciele wnoszą przy zapisywaniu najmniej rs. 50., a w następstwie korzystając z wszelkich praw i przywilejów Towarzystwa, rocznych składek nie płacą Członkowie rzeczywiści, przyjmowani przez balotowanie tajne, płacą w pierwszym roku rs. 13, a w następnych po 10 rs. Członków honorowych wybierają zebrania ogólne z pomiędzy osób zasługujących się Towarzystwu przez szczególne usługi, ofiary materyalne, lub wreszcie z pomiędzy osób, które stanowiskiem swojem do rozwoju instytucyi przyczynić się mogą. Członkowie honorowi, korzystając z praw i przywilejów członków założycieli i rzeczywistych, żadnych opłat lub składek nie wnoszą. Dozwolonym jest udział gości na polowaniach, wprowadzanych przez członków i goście ci za polowanie zwykłe płacą po rs. 2 na dzień lub 10 rubli tygodniowo, a za polowanie z gończymi lub naganką po 5 rubli jednorazowo i prócz tego ponoszą wydatki urządzenia polowania na równi ze wszystkimi jego uczestnikami. Rozdział o „Zarządzie Towarzystwa“ wymienia członków założycieli, rzeczywistych i honorowych, którzy do zarządu wybierani być mogą. Ten zaś składa się: z prezesa, wiceprezesa i czterech członków wybieranych przez Towarzystwo na czas trzechletni. Prezes nie jest wybieralnym, gdyż godność tę sprawuje przewodniczący w Towarzystwie opieki nad zwierzętami. Z wyborów powstały zarząd ma za zadanie: 1. prowadzenie alfabetyczne listy członków; 2. wydawanie biletów członkom; 3. przyjmowanie nowych i wykreślanie niepłacących składek; 4. przedstawienie ogólnemu zebraniu osób kwalifikujących się do wykreślania za naruszenie ustaw; 5. przedstawienie kandydatów na członków honorowych; 6. układanie list kandydatów na rozmaite urzędy w Towarzystwie; 7. najem i oddalanie stróżów, dojeżdżaczy i t. p. osób pełniących służbę za opłatą; 8 ułożenie dla osób powyższej kategoryi specyalnej instrukcyi; 9. zawiadamianie członków o projekcie urządzenia łowów z gończymi lub naganką; 10. publikacya różnych ogłoszeń w gazetach, jak również ostrzeżeń na słupach granicznych; 11 korespondencya z wszelkiemi władzami i osobami w sprawach dotyczących Towarzystwa; 12. przyjmowanie wpływających sum i wydatkowanie; 13. wyszukiwanie terytoryi do polowań, zawieranie z decyzyi ogólnego zebrania kontraktów dzierżawnych; 14. budowa i utrzymanie w porządku domków

myśliwskich; 15. zaprowadzenie psiarni, strzelnic, stacyj ratunkowych i t. p.; 16. w ogóle utrzymanie i czuwanie nad całością funduszów i wszelkich ruchomości Towarzystwa; 17. rewizye miesięczne kasy; 18. terminowe deponowanie pieniędzy w instytucyi kredytowej na rachunku bieżącym i podnoszenie za czekami stosownie do potrzeb; 19. układanie budżetów i bilansów corocznych. Zakres obowiązków i atrybucyi zarządu pomieściliśmy „*in extenso*“, określa on bowiem najdokładniej cele i działalność Towarzystwa łowieckiego; co się zaś tyczy dalszych paragrafów projektu, te jako mniej ważne po krótce tylko zaznaczymy. Mówią one o wewnętrznym porządku sesyj zarządu, o prawomocności jego postanowień i o terminach i miejscu ogólnych zebrań. Ważnym jest rozdział ostatni, dotyczący środków baczenia nad wykonywaniem przepisów o polowaniu i kar wymierzanych na wykraczających. — Ogólne zebrania zwoływane będą według potrzeby, a pragnący zabrać na nich głos winni przedtem powiadomić o tem przewodniczącego. W razie wyniknięcia jakich sporów pomiędzy członkami, takowe załatwia sąd polubowny, którego wyboru dopełniają strony z pomiędzy członków Towarzystwa.

Oto jest w głównych zarysach projekt, który niebawem przedstawiony zostanie do zatwierdzenia władzy. Nie potrzebujemy chyba wspominać, jak sympatycznie witamy instytucyę tak potrzebną i odpowiadającą ogólnemu zamiłowaniu.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego:
Bełtowski Edmund.
Ligman Jan, lustrator lasów Sieniawskich.

Drohomyśl 20. Października.

Na polowaniu z nagonką, odbytem w Krakowcu dnia 16. b. m. w lasach hr. Kazimirza Łubieńskiego, zabił jeden z myśliwych sarnę. Wezwany przezemnie złożył w moje ręce 10 złr. kary, którą to kwotę przesyłam św. Wydziałowi naszego Towarzystwa do użycia jej na cele kultury krajowej, jak Ustawa wymaga, z prośbą o przysłanie mi dowodu otrzymania tej kwoty. Przy tej sposobności donoszę, że w powiecie Jaworowskim na dwóch obszarach większej posiadłości, z wiadomością właścicieli, Ustawa łowiecka wcale nie jest przestrzeganą i przez cały rok polują tam i strzelają sarny, mianowicie w Świdnicy, należącej do izraelity p. Oranża (?) i w Ożomli, własności p. Dra Stępińskiego. Proszę usilnie o wyjednanie przez Wys. Namiestnictwo, aby Starostwo Jaworowskie kazało żandarmeryi mieć baczniejsze oko na Swidnicę i Ożomlę.

Józef Skarbek Borowski,
delegat powiatu Jaworowskiego.

Głos litości nad zwierzyną. Niejednokrotnie dają się słyszeć głosy z pośród członków myśliwskiego Towarzystwa miejskiego, że zwierzyny w lasach miejskich jest co raz mniej, że chyba niedbały dozór jest tego przyczyną, bo umożliwia kłusownictwo. Czy te narzekania są słuszne? Prawda, że w rewirach, odpowiadających wybornie pobytowi sarn, zajęcy i ptactwa łownego, w rewirach, gdzie jak n. p. w Biłohorszczu, staraniem leśniczego, wytruto co do nogi lisy; z każdym rokiem stan zwierzyny się zmniejsza tak, iż przypuścić można, że za jakich lat 8 gmina Lwów będzie musiała wykreślić z rubryki swych dochodów kwotę pobieraną z dzierżawy polowań, któżby bowiem chciał dzierżawić lasy, które zając przypadkowo tylko, a sarna chyba z etykietalną wizytą odwidzi. Członkowie Towarzystwa łatwoby znaleźli powody smutnej tej prawdy, gdyby raczyli zastanowić się nad sposobem i systemem polowania w zadzierżawionych kniejach. Oto gdy nadejdzie sezon polowań, odbywają się w każdym rewirze dwa polowania — to jeszcze mniejsza, ale ponieważ nieraz rewir 195 morgowy (np. Ilepa), lub 54 morgowy (Malechów) nie wystarcza na cały dzień, więc bierze się na każdem polowaniu te same mioty po dwa razy (raz chciano nawet 3 razy), tak, że każdy rewir przez sezon 4-miesięczny bywa najmniej cztery razy nagonką i strzałami niepokojony. Rzecz jasna, że po każdem takiem polowaniu nie pozostanie w lesie ani jedna zdrowa sztuka zwierzyny, bo co na miejscu nie padnie, co nie zginie skaleczone, to wyniesie się na obce terytoryum.

Taki system praktykuje się co roku. Czyż można się dziwić, że stan zwierzyny zmniejsza się z każdym rokiem? Czyż można jeszcze narzekać na zarząd i dozór leśny? Zaiste z lasów miejskich żaden kłusownik nie weźmie zająca, bo go tam członkowie miejskiego Towarzystwa dla kłusownika nie zostawią. Że mimo tego w roku bieżącym rezultaty polowań nie były zupełnie opłakane, że n. p. w Biłohorszczu na 100 przeszło strzałów padło 24 zajęcy i 2 kozły, w Malechowie 6 zajęcy i 2 lisy, w Ilepej 12 zajęcy i 4 lisy, to tylko owoc starań i zabiegów zarządców lasowych, rezultat pilności straży leśnej, która z iście argusowym wzrokiem strzeże zwierzyny Towarzystwa, tak zacięcie i bez pardonu przez samych członków tegoż mordowanej.

Te kilka słów podyktowały mi nie żadne uboczne względy, jeno w pierwszym rzędzie prosta litość dla zwierzyny, litość myśliwego-przyrodnika, w dalszym dobro gminy, która nie powinna pozwalać we własnym interesie, by w jej lasach żadna już żyjąca istota nie pozostała, co z pewnością nastąpi, jeśli miejskie Towarzystwo myśliwskie nie zmieni dotychczasowego systemu polowania.

We Lwowie dnia 21. Października 1886.

Maryan S........

Dnia 7. Października odbyło się polowanie w Krukienicach w 10 strzelb, ubito 2 dziki, 5 lisów, 6 zajęcy, 2 rogacze, razem sztuk 15. Drugiego dnia znaleziono 1 dzika, 1 lisa, 2 zające. Strzałów padło 62. Exc. pan Namiestnik zrobił dubletę do lisów. Dziki były prawie w każdym miocie. Wielka ilość strzałów w stosunku do ubitej zwierzyny tłumaczy się tem, że była zwierzyna różnorodna, dzik, lis, rogacz, zając, słonka, więc była zawsze wątpliwość, czy nabijać śrótem lub kulą, do drobnej zwierzyny strzelano często kulami, a do dzików śrótem, i tak hr. Karol Drohojowski ubił dużego dzika śrótem nr. 4. Strzelano do 6 dzików. Zwierzyna każda niemal, mimo gęstej i dobrze prowadzonej pogonki, uderzała w tył, głównie z tej przyczyny, iż liść jeszcze był na drzewach i trawa w zrębach, więc gąszcz, powtóre iż przez wzgląd na dogodność strzału i otwartszy widok pędzono zawsze ku szerokim liniom i łąkom, na które, jak wiadomo, zwierz bardzo niechętnie wychodzi. Gdyby pędzono na wąskie przesmyki, toby było niezawodnie padło trzy razy więcej zwierzyny. *Jan Ostrzechowski.*

Wydział krajowy wezwał galic. Towarzystwo łowieckie, aby ono zamianowało dwóch delegatów do ankiety, zwołać się mającej w celu rozważenia sprawy wynagradzania szkód przez myśliwstwo i zwierzynę zrządzonych, na podstawie Ustawy dla Styryi, która brzmi:

Ustawa z 17. Września 1878. ważna dla księstwa Styryi, dotycząca wynagrodzenia za szkody przez łowy i dziczyznę zrządzoną.

Ze zgodą sejmu mojego księstwa Styryi rozporządzam co następuje:

§. 1. Uprawniony do wykonywania łowów jest obowiązany: *a)* przy wykonywaniu polowania przez siebie samego, swych pomocników, służbę lub gości zrządzoną szkodę (szkodę myśliwską) i *b)* z reguły wszelką w obrębie swego terytoryum łowieckiego przez zwierzynę na gruncie i roli i na znajdujących się na nich płodach zrządzoną szkodę wynagrodzić.

§. 2. Jeżeli prawo wykonywania łowów przysłuża większej liczbie osób, poręczają wspólnie za szkody przez ludzi i zwierzynę wyrządzoną.

§. 3. Obowiązanemu do wynagrodzenia szkody łowieckiej (§. 1. lit. *a*) przysłuża regres do bezpośrednio winę ponoszącego, według zasad ogólnego kodeksu cywilnego.

§. 4. Właściciel ziemi nie jest wprawdzie obowiązany posiadłość swoją ogrodzeniem lub innymi środkami od szkody przez zwierzynę zrządzaną ochraniać; może wszakże wymagać wynagrodzenia za szkody przez zwierzynę w owocach, jarzynach lub ogrodach, w szkółkach drzewnych, w osobno stojących młodych drzewkach

zrządzoną tylko wtedy, gdy wykazane zostanie, iż szkoda nastąpiła mimo owych środków ochronnych, jakimi każdy porządny gospodarz tego rodzaju przedmioty zwykł ubezpieczać.

§. 5. Jeżeli szkoda przez myśliwych lub dziczyznę zrządzona w zbożu lub innych płodach ziemi, których cała wartość dopiero podczas żniw da się oznaczyć, przed tą porą nastąpiła, to szkoda ma być wynagrodzoną w takich rozmiarach, w jakich ona podczas żniw się okazuje (§. 8).

§. 6. O roszczeniach co do wynagrodzenia za szkody, przez myśliwych lub dziczyznę zrządzone, rozstrzygają władze polityczne. W pierwszej instancyi kompetentną jest Władza polityczna tego powiatu, w którym poszkodowanie nastąpiło.

§. 7. Polityczna Władza powiatowa powinna naprzód próbować układu między stronami, a gdy ta próba okaże się bezskuteczną, zarządzić na miejscu dochodzenia, jakie się potrzebne okażą i na podstawie tych dochodzeń, jako też przez rzeczoznawców dokonanego oszacowania szkody, rozstrzygać tak o wynagrodzeniu tejże, jak również o zwrocie kosztów postępowania (§. 10).

§. 8. W wypadkach §. 5. winien poszkodowany wnieść prośbę o urzędowe oględziny najdalej w przeciągu 14 dni od czasu wyrządzonej szkody, o oszacowanie zaś dokonanej szkody jeszcze przed rozpoczęciem żniw, w przeciwnym bowiem razie gasną jego roszczenia o wynagrodzenie szkody.

§. 9. Władza polityczna może podjęcie na miejscu potrzebnych dochodzeń i kierownictwo aktu szacunkowego polecić przełożonemu gminy. O tych, jako też o dochodzeniach w §. 7. wymienionych, należy strony w należytym czasie uwiadomić.

§. 10. Zasądzony na wynagrodzenie szkody uprawniony do polowania ma z reguły zwrócić poszkodowanemu właścicielowi gruntu koszta potrzebne do odpowiedniego celowi zaspokojenia roszczeń o wynagrodzenie, a z drugiej strony także oskarżyciel, który z roszczeniem o wynagrodzenie zupełnie został oddalony, ma uprawnionemu do polowania zwrócić koszta, które w odpowiadającej celowi obronie były niezbędnemi.

Władza może zresztą koszta te stosunkowo rozłożyć, jeżeli przez uprawnionego do polowania przed oszacowaniem szkody w drodze układu ofiarowane, a przez poszkodowanego odrzucone wynagrodzenie znacznie ową sumę przekracza, którą Władza jako słuszną uznała.

§. 11. Wykonanie tej Ustawy poruczam ministrowi rolnictwa i ministrowi spraw wewnętrznych.

Schönbrunn dnia 17. Września 1878.

Franciszek Józef, m. p.

Auersperg, m. p. *Mannsfeld*, m. p.

Z pod Rudek.

Tradycya głosi o sławie lasów Chłopczyc i Koniuszek Siemianowskich z ciągu słonek. Tą sławą zachęcony dwa razy stawałem wieczorem na środku bitego gościńca, który miał być głównym szlakiem słonczym w czasie ich wiosennych i jesiennych ciągów. Kilka godzin strawiłem na stanowisku, nie ujrzawszy ani jednej słonki, a czas był najlepszy, bo z końcem Września. Zaręczano mi, że ciąg wiosenny był obfity, dla czegoż teraz tak ubogi? Może i na słonki susza tegoroczna źle wpłynęła, lub je na wiosnę wybito. Sądziłbym, iż jakkolwiek słonka jest ptakiem przelotnym, należałoby nie strzelać do niej w czasie ciągu wiosennego, gdy na pielesze parkami się rozlatują, wtedy mielibyśmy ich niezawodnie wiele w jesieni.

Donoszą nam, że w Styryjskich górach ubito na rykowisku 15 jeleni. W łowach tych brał udział hr. Artur Potocki z Krzeszowic.

Szkło koło Janowa.

Dnia 16. Września wracałem na furce najętej ku Lwowowi. Droga niemal od samego Szkla wiedzie środkiem ogromnych lasów, będących własnością kamery, czyli Rządu. Nie jestem myśliwym, a jednak widok takich wspaniałych ostępów wprawił mnie w zachwyt, przywodząc do pamięci lata dawno minionej przeszłości, kiedy to mnie młodego jeszcze chłopca, ś. p. dziad mój w podobnych kniejach koło Janowa Lubelskiego do łowiectwa zaprawiał, udzielając niekiedy szturkańców za pudła do sarny lub zająca. „Nauka poszła w las“, wedle przysłowia, nie sposób było zrobić ze mnie myśliwego, stałem się gryzipiórkiem. Ale *ad rem.* Jadę tedy bitym gościńcem, naraz oczom moim dziwny przedstawia się widok. Z pobliskich gąszczy wymyka na drogę zając, za nim niby chart w pościgu lis, a tuż nad nimi gromada srok skrzeczących. Szarak w strachu, a lis w zapale nie zważały na obecność mojej furki, przebiegały tuż koło mnie. W tem zajęczał zając ujęty przez lisa, ale lis zwycięzca zawziętą musiał stoczyć walkę z srokami, na niego prawdziwie po żydowsku, bo z wrzaskiem bijącemi. Sroki atakowały lisa prosto od głowy, w oczy godząc. Lis bronił łupu zawzięcie, niekiedy sypały się pióra z pochwyconej napastnicy. Przybiegłem i odstraszyłem lisa i sroki. Zając był młody, wziąłem go z sobą. Taki to zwykły wynik walki o byt — najsilniejszy odnosi korzyść. *Strzemię.*

J u b i l e u s z m y ś l i w s k i święcił 12. Września Raul Dąbrowski, jeden z najznakomitszych pisarzów myśliwskich, w ścisłem kółku rodzinnem. Przed laty 40 w tym samym dniu otrzymał młody Raul, po świetnym examinie od swgo ojca zezwolenie strzelać do zwierzyny. Pod opieką wytrawnego starego myśliwego wyruszył on uzbrojony w dwie lekkie pojedynki w pole. Po chwili pomknęły równocześnie dwa zające. Młody strzelec szybko zmienił strzelby i ubił obydwa. Był to pierwszy jego popis w szlachetnym zawodzie łowieckim, poczem rosła namiętność myśliwska. Gorączka myśliwska obdarzyła go niejednem nader bolesnem pudłem. Widząc, iż w taki sposób wielkich rezultatów nie osiągnie, siłą woli przytłumił w sobie wrzący wewnętrzny ogień i odtąd szło lepiej. Odtąd położył on 39.270 sztuk różnorodnej zwierzyny; rezultat, który mu w wyższych i najwyższych kołach myśliwskich dał zaszczytne miano „pogromcy zwierzyny“ *(Wildtödter).* Od niedźwiedzia i wilka aż do łasicy, od jelenia i głuszca do królika i przepiórki, każdy rodzaj zwierzyny składał mu daninę. Więcej jak 2500 sztuk ubił kulą, a z tych wypadło 77 *coups doubles* na grubą zwierzynę. O wiele większą liczbę zwierzyny mógł był położyć, gdyby mu zależało na strzelaniu, a nie na wpatrywaniu się i badaniu. Na wielkich łowach nieraz już dostrzegano, że *coups doubles* Raula Dąbrowskiego z znacznego nawet oddalenia dawały się z łatwością od innych odróżnić, bo one miały podobieństwo do jednego, przeciągłego strzału, a między jednym a drugim strzałem ledwie dostrzegalna chwilka ubiegała. Winniśmy też nadmienić, że dzielnemu myśliwemu urządziły z miłością i czcią oddane swemu ojcu dzieci świetną uroczystość, która niezawodnie bardziej go cieszyła, jak inne hołdy i uznania, jakie go z różnych stron dochodziły.

(Waidmannsheil).

Ł o w y c e s a r z a r o s y j s k i e g o w puszczy leśnej „Spała“ wedle doniesień dzienników, odbyły się z całym przepychem tak łowieckim, jako też estetycznym. Podczas śniadania w zameczku łowieckim w Lubochenku, muzyka pułku Grodzieńskiego, przybrana w kostiumy łowieckie, przegrywała różne utwory muzyczne, wyłącznie na dętych instrumentach, wybornie naśladując trąbki myśliwskie. Część muzyki, ukryta daleko w ostępie, powtarzając wygłoszoną nutę, doskonale naśladowała echo. Nie brakło i wystrzałów, dopełniających złudzenie. Fotografowie przybyli z Warszawy plastycznie oddać mieli niektóry sceny łowieckie. Na tych łowach ubito: 26 jeleni, 22 rogaczy i 115 dzików. Cesarzowa polowała z psami *par force*; sforsowano ogromnego danielarogacza. *U.*

W ę ż e j a k o n i e p r z y j a c i e l e r y b. Pan L i n d e s w „Wiedeńskiej gazecie rolniczej“ zwraca uwagę na szkodliwość wężów, które pożerają narybek łososi i pstrągów. Oto są jego słowa: „Pomimo największej baczności przekonałem się, że ilość narybku w miesiącu Czerwcu, Lipcu i Sierpniu zmniejszyła się w sposób widoczny, chociaż przyczyny tego na razie odkryć nie byłem w stanie. Pewnego dnia wziąłem się do badania sadzawek wyjątkowo w najgorętszej porze dnia, to jest w południe. Zbliżywszy się z największą ostrożnością do sadzawki, spostrzegłem z największem mojem zdziwieniem cztery duże węże, uganiające za mojemi rybkami. Skorom tylko wystąpił z mojej kryjówki tak, że mnie węże dostrzegły, chciały natychmiast ratować się ucieczką na brzeg i do lasu. Lecz ponieważ miałem przy sobie dwóch pomocników uzbrojonych strzelbami, przestraszone wystrzałami węże widząc że ucieczka jest niemożliwą, zanurzyły się w wodzie i układły na dnie jak nieżywe. Przy otwarciu ciał tych wężów znalazłem w ich żołądkach po 6 do 8 sztuk narybku, długości około 4 cali. Po wyłowieniu z sadzawki całego narybku i przeliczeniu sztuk, upewniłem się, że węże w ciągu letnich trzech miesięcy pożarły co najmniej dwa do trzech tysięcy sztuk narybku.

Leopold Häring w Wiedniu (I. Bezirk. Detailmarkthalle, albo Filia III. Landstrasse Hauptstrasse 43), kupuje zwierzynę po cenie: jelenie kilo 30—35 ct., sarny kilo 50 ct., stare zające sztuka 1 złr., bażanty sztuka 1 złr. 40 ct., złowione młode kuropatwy sztuka 70 ct., zabite

sztuka 60 ct. Ceny wypłacają się po dostawie na dworzec wiedeński i należy naprzód o przesyłce uwiadomić.

Baron Witzleben, jak donoszą dzienniki, wynalazł przyrząd nader ważny dla myśliwych, za pomocą którego w ciemności strzelać można. Jest to przyrząd, który w ciemności zakłada się na koniec lufy, przed użyciem musi on jednak na kilka godzin wystawiony być na działanie światła słonecznego. Pismo „St. Hubertus" poleca ten przyrząd myśliwym.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.